

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Maria Osiadacz

TROP WIEDZIE W HISTORIE



Profesor Osadnicki obudził się tego dnia znacznie później niż zwykle. Z przyzwyczajenia rzucił okiem na tarczę dużego, szafkowego zegara, stojącego w rogu pokoju. Wskazówki połyskiwały złotem na tle czarnej emalii.

—
Już siódma!

Uświęcony długoletnim nawykiem rytm dnia — dzisiaj uległ zakłóceniu. Myślał o tym bez zdenerwowania.

W przeddzień urlopu nie miało to znaczenia. Sprawy, które jeszcze należało załatwić przed wyjazdem, nie wymagały zrywania się o świcie.

Sięgnął ręką po papierosa. Zapalił, zaciągnął się głęboko.

Przynajmniej nie na czczo — przypomniał sobie zalecenia znajomego lekarza, u którego od czasu do czasu bywał na bri-dżu, nigdy w przychodni. Siedemdziesiąt lat — to piękny wiek. Ale trzeba na siebie uważać.

Nie uważał. Nie miał czasu, zaabsorbowany tysiącem zajęć. Gdy łamała go grypa, dysponował długoletniej gospodyni: — Mocna herbata, kieliszek spirytusu, dużo cytryny... — Pomagało!

Leżąc, myślał o tych siedemdziesięciu latach. Młodość, studia w krakowskiej Alma Mater, potem pierwsza posada w prowincjonalnym gimnazjum. Wojna, partyzantka... To był niełatwy czas. Szczególnie okres okupacji. Ale był to czas sprawdzenia siebie i innych.

Nigdy nie przerwał swojej pracy pedagogicznej. Zbierał u siebie w domu uczniów, rozmawiał, podsuwał

odpowiednie lektury. Wieczorami włączał malutki „De-telon”. Niepozorny, łatwy do ukrycia, kryształowy aparat radiowy, wyprodukowany na parę lat przed wojną, oddawał teraz nieocenione usługi. Po kolei nakładali słuchawki na uszy. Z dalekiego, wolnego świata płynęły wiadomości. Słowa spikerów silnej radiostacji moskiewskiej przebijały się bez trudu przez bełkot niemieckich szczekaczek. Chłopcy z wypiekami na policzkach słuchali informacji, na przedwojennych mapach kreślili przesuwanie się frontów. Potem dzielili się wieściami o partyzantce radzieckiej, która tu, podobno, na tych terenach...

Dzielne chłopaki! — Teraz, gdy wracał myślą do tamtych wieczorów, widział w wyobraźni ich twarze.

Wspominał imiona, nazwiska. Poszli niemal wszyscy, do partyzantki. Ci — z ostatniej maturalnej i przedmaturalnej klasy. Nie wszyscy doczekali wolności. A ci, którzy przetrwali lata wojny — rozproszyli się po kraju.

Szkoda! Chciałbym mieć ich bliżej, częściej widzieć, częściej móc pogawędzić, powspominać...

Taki los pedagoga — tłumaczył sobie. — Kolejne pokolenia odchodzą w życie.

Przecież i ci, których uczył
po wojnie — dawno dorośli.

Ilu ich było? Nie sposób policzyć. Setki. Gdy w parę lat po wyzwoleniu objął katedrę w uniwersytecie —

garnęli się do niego studenci, wyczuwając, że nie tylko rozumie, ale i kocha młodzież. Na jego wykładach i seminariach zawsze było tłoczno.

Pracowita młodzież! Tak oceniał pierwsze powojenne roczniki. Ale i obecna nie gorsza. Młodzi ludzie uczą się dziś mniej pośpiesznie niż tamci. Mają więcej czasu. Ale uczą się solidnie. Jest wśród nich

wielu wybitnie zdolnych. Takich jak Brynicki. 26 lat, a już robi doktorat. Ma warunki, zdolności, a poza tym...

Zawsze powtarzał swoim studentom: kto chce pracować naukowo, musi mieć nie tylko wiedzę i opanowaną warsztat badawczy: musi mieć również instynkt.

Brynicki ma niewątpliwie instynkt. Będzie z niego dobry historyk.

Profesor przeciągnął się. spojrzął znowu na zegar. Dochodziła ósma. Trzeba wstawać!

Pokój tonął w słońcu. Lekki wiatr unosił tiulowe firanki, poruszał brzegami kolorowych zasłon. Cisza, która zapanowała w mieszkaniu po wyjeździe gospodyni i wychowawicy, dawała uczucie spokoju i odprężenia.

Kochał wychowanicę, przyzwyczał się do gderania pani Karatowej, ale w te ostatnie dni przed urlopem chciał

być sam. Chciał jeszcze raz przemyśleć całą tę sprawę, która nękała go od paru miesięcy. Od dnia, w którym odbył wielogodzinną rozmowę z miłym, poważnym kapitanem milicji.

A właściwie od momentu, gdy tamten wyciągnąwszy zdjęcie jakiegoś mężczyzny spytał:

—
Poznaje pan, profesorze?

Nie, nie poznał. Nigdy nie widział tego człowieka. Ta twarz nie była mu znana.

Ale gdy trzymał to zdjęcie w ręku, naraz przypomniał sobie wydarzenie sprzed roku. Wtedy, w czasie jednej z wędrówek historycznych, mignęła mu na wiejskiej drodze sylwetka mężczyzny. I twarz... Widział ją krótko, bardzo krótko... Ale ten moment wystarczył, by we wspomnieniach odżyły lata okupacji...

—
Pan się zamyślił profesorze? — przerwał zadumę kapitan. — Może jednak pan sobie przypomni?

—
Nie! Absolutnie nie przypominam sobie tej twarzy. Może jednak kiedyś jeszcze porozmawiamy...

—
powiedział.

Od tego czasu wielokrotnie wracał myślą do wydarzenia sprzed roku.

Zastanawiał się, czy warto w ogóle zaprzętać uwagę kapitana sprawą sprzed wielu lat. Dyskutował sam ze sobą wszystkie racje za i przeciw. Wreszcie postanowił. Dręcząca sprawa musi być rozwiązana. I to już teraz. Przed urlopem.

W przeciwnym wypadku nie będzie miał spokoju. Będzie jak dotąd — stale o tym myśleć.

Tej nocy pracował długo. Wertował stosy notatek i zdjęć. Świtało, gdy na stoliku ułożył wreszcie kilka kartek kratkowanego papieru, pożółkłych już i zapisanych gęsto atramentowym ołówkiem. Pismo było wyblakłe, ale na tyle wyraźne, że bez większego

trudu można było odczytać krótkie, zwięzłe zdania. Wyciągnął także jedną fotografię. Amator-fotograf, który robił to zdjęcie, nie ustrzegł się częstej manieri: upozowania grupy młodzieży jako tła dla siedzących w pierwszym rzędzie nauczycieli. Fotografia — jakich wiele posiadają starzy pedagodzy.

Na tym zdjęciu jednak tuż za szeregiem młodzieży uplasowało się parę dorosłych osób.

Tak, to ta! Właśnie tu, z boku, stoi ten człowiek!

A może się jednak mylę? — pomyślał profesor.

Wpatrzył się jeszcze raz w fotografię. Do tej pory nie używał okularów. Miał znakomity wzrok. Ale teraz wziął szkło powiększające, którego nieraz używa!

przy studiowaniu starych druków.

To chyba jednak ta twarz

Złożył razem kartki, spiął je spinaczem wraz ze zdjęciem, dołączył uprzednio napisany obszerny list, zapakował w szarą kopertę. Pozostało tylko wypisać adres. Koperta trafi we właściwe ręce.

Z przekonaniem, że zrobił, co należało, kładł się na spoczynek. Przygotowując teraz skromne śniadanie, de-lektował się uczuciem spokoju i swobody.

Przyniósł sprzed drzwi przedpokoju butelkę mleka, ale odstawił ją na bok.

Jak urlop, to urlop — pomyślał z satysfakcją. Wbrew zaleceniom zacnej Karatowej zrobi sobie na śniadanie kawkę. — Mleko wypiję później. A może i nie wypiję? Kto to widział, by dorosłego człowieka poić mlekiem jak niemowlę?

Zaparzył w małym, węgierskim ekspresiku kawę. przeniósł do gabinetu, postawił na stoliku cukiernicę, wy-jął z małej szafki swoją ulubioną filiżankę. Picie kawy było obrzędkiem, którego nic nie powinno zakłócić. Zlustrował wzrokiem nakrycie małego stolika: wszystko w porządku !

Nalewał właśnie kawę do filiżanki, gdy zadzwonił telefon.

—
A cóż ty, Brynicki, doczekać się nic możesz? — huknął w słuchawkę, gdy rozpoznał głos swego asystenta. — Mówiłem, że będę o dwunastej.

—
Może mógłbym w czymś pomóc przed wyjazdem?

—
tłumaczył asystent.

—
Też znalazł się pomocnik! Niczego nie potrzebuję. Wszystko załatwione, rzeczy spakowane, walizki już w przedpokoju.

—
Wobec tego oczekuję pana profesora w uniwersytecie.

—
Oczekuj! Powiedziałem, że będę o dwunastej, to będę. Jak zawsze. Mam jeszcze spotkanie o dziewiątej.

Ale to mi nie zajmie wiele czasu.

Odłożył słuchawkę. Kawa parowała. Krążąc po pokoju pociągał z filiżanki łyk po łyku. Lubił taką: gorącą i mocną. Nie wierzył, że siedemdziesięcioletnie serce może być szczególnie wrażliwe na ten napój.

Są kraje, w których ludzie od dzieciństwa piją kawę, wino, a nie słyszałem nigdy, by częściej umierali na serce niż my lub stawali się alkoholikami. Sprawa przyzwyczajenia — zbywał tych, którzy troszczyli się o jego zdrowie.

Nalał sobie drugą filiżankę. Nic spieszył się. Dopiero przecież o dziewiątej miał przyjść ten miody człowiek, który tak bardzo podobał się Loni.

Ale sprawa była przesądzona. Nigdy nie wyraża! zgody na to małżeństwo.

Wyjeżdżała na wakacje spłaka-na, na szczęście jednak pogodzona już wewnętrznie z jego decyzją. Profesor z czułością myślał o wychowawcy.

To dobre dziecko! Może tylko zbyt ufna. No i trochę zbyt egzaltowana...

Aten chłystek usłyszysz dzisiaj całą prawdę! I niech się jej nie pokazuje na oczy! —

postanawiał twardo.

Przyzwyczajony do precyzyjnego dysponowania czasem, spojrzął znów na zegar.

8.30. Trzeba się ubierać. Sięgnął po świeżą koszulę, gdy znowu rozległ się dzwonek. Tym razem u drzwi,

—
Pospieszył się — mruknął z niechęcią. — Dzwoni jak na alarm.

W pośpiechu zapinał koszulę, narzucił bonzurkę. Już zmierzając ku drzwiom w przedpokoju zapytał odruchowo:

—
Kto tam?

—
Z elektrowni! — rozległ się męski głos.

Nawet nie spojrzął w wizjer. Przekręcił gałkę zatrzasku energicznie otworzył drzwi, powiedział konwen-cjonalnie:

—
Proszę!

I odwróciwszy się w kierunku gabinetu, dodał:

—
Zaraz przyniosę pieniądze!

Pamiętał, że miał je w portfelu, w marynarce. Szybko przeszedł do gabinetu, nachylił się nad krzesłem, na którym wczoraj ją powiesił. I wtedy poczuł, że tamten stoi tuż za nim. Wyprostował się, odwrócił i spojrzął w twarz mężczyzny.

W tej samej sekundzie spostrzegł, że ręka mężczyzny unosi się...

—
To ty?

Nie słyszał huku. Poczuł tylko uderzenie w pierś. Przed oczyma rozpostarła się ciemność. Podłoga zabalan-sowała pod nogami. Runął ciężko, zawadzając o krzesło.

Mężczyzna pochylił się nad bezwładnym ciałem, chwilę przyglądał się twarzy, w której zakrzepł wyraz grozy i zdumienia zarazem.

—
Ma dosyć! — mruknął do siebie.

Potem rozejrzał się po pokoju. Na stoliku leżała szara koperta. Ostrożnie, rękoma w brązowych rękawiczkach odsunął na bok ekspres do kawy i filiżankę, ujął w palce kopertę i potrząsnął nią. Na blat wypadły kartki, zdjęcie...

A jednak! I nawet nie trzeba było szukać. — Wzdrygnął się. — W sam czas tutaj przyszedłem. Parę godzin, a mogłoby być za późno.

Pospiesznie lustrował wzrokiem kąty.

Wyciągał teraz szuflady komódki, wyrzucał papiery... Część z nich zapakował do teczki, którą przyniósł ze sobą. Wyłamał drzwi szafy, rozgarnął stosy równo ułożonej bielizny. Sięgnął ręką w głąb.

Niewiele tego... Nie o to jednak chodzi.

Schował do kieszeni parę małych pierścionków, złoty łańcuszek z medalikiem, cieniutką bransoletkę...

Brakowało paru minut do dziewiątej, gdy wychodził z mieszkania profesora.

Klatka schodowa była pusta.

Na podwórzu opodal bawiły się dzieci. Dwóch chłopców kopało piłkę...

Spokojnie wyszedł za bramę. Jak człowiek, który ma mnóstwo wolnego czasu, szedł ulicą, popatrując na drzewa. Dopiero za rogiem kamienicy przyspieszył

kroku. Dopadł do szarej Skody, zaparkowanej tuż przy krawężniku. Naciskając sprzęgło, spojrzał jeszcze w kierunku okien parteru.

Zza ogrodzenia podwórza dobiegały krzyki dzieci... Poprzez listowie gęstego żywopłotu, rosnącego tuż przy siatce, widział kolorowe plamki ich ubrań.

Docisnął gaz... Skoda ruszyła ostro z miejsca.

Julian Łabęcki przygotowywał się długo do tej rozmowy. Właściwie miał już dawno zamiar porozmawiać z profesorem. Okazji było sporo. Lonia zapraszała go często. Profesor jadający śniadanie i obiad w swoim gabinecie — pojawiał się zawsze w jadalni na kolację. Ten posiłek w ogóle celebrowano w tym domu. Na mahoniowym stole pojawiał się piękny, kuty świecznik. W ciepłym świetle świec połyskiwały srebrne sztuce, błyszczał samowar.

— Dziadek oderwał się od Regelindy, by chwilę poświęcić żywym kobietom
— żartowała Lonia, nawiązując do pasji, z jaką profesor poświęcał się badaniom losów kobiet z dynastii Piastów.

— To byta piękna dziewczyna. I mądra... — rozmarzał się w odpowiedzi profesor. — Wyobraźcie sobie, że...

Pani Karatowa podawała wtedy szybko filiżanki z herbatą i rozmowa wkraczała na tory bardziej współczesne.

Sympatyczny dom — myślał Julian Łabęcki. — I miły ten stary, zatopiony w swoich studiach, w sprawach jakże odległych, ale dla niego ciągle żywych i interesujących.

W takich momentach golów był wstać i poprosić profesora o chwilę rozmowy.

Zaraz, natychmiast. Niechby już było wszystko wiadomo.

Ale naraz chwycił wzrok starszego pana, jakby trochę ironiczny, lustrujący jego sylwetkę. Dopinając nerwowo rozpiętą z reguły wiatrówkę, postanawiał: nigdy!

Ostatecznie Lonia jest dorosła. Niech sama decyduje.

Zdecydowała. Wczoraj dostał list od niej. Pisała go zaraz po przyjeździe nad morze, gdzie miała pozostać z panią Karatową przez dwa miesiące. List był serdeczny, ale pełen rezygnacji.

Dziadek jest mądry. Ma doświadczenie. Wie — co będzie dla niej lepsze. Poza tym zaś... Ona nie może się sprzeciwiać. Profesor wychował ją po śmierci rodziców. Poświęcił dla niej swoje prywatne życie. Nic może postąpić wbrew jego woli.

Gdy sens tego listu dotarł do świadomości, przestał się namyślać. Zadzwoił.

Profesor nie wydawał się zdziwiony, ale też nie wykazywał większej ochoty do rozmowy. W końcu jednak się zgodził.

Dzisiaj wreszcie odbędzie się to spotkanie. Za godzinę.

Buntował się przeciw ingerencji profesora w sferę osobistego życia Loni. Miał zamiar powiedzieć to wyraźnie.

Czy jednak miał rację? Ostatecznie ojciec czy opiekun ma prawo zainteresować się osobą kandydata na męża. A co on mógł zaofiarować Loni?

Julian Łabęcki — dwudziestopięcioletni człowiek — bez zawodu, bez perspektyw...

Ot, choćby taki Krynicki; 28 lat i prawie doktorat. Nic dziwnego, że stary zaprasza go chętnie, życzliwie komentuje jego wywody...

Trzeba było od razu wszystko powiedzieć. I Loni, i profesorowi. Przede wszystkim, o chorobie, która przerwała studia, wyłączyła z normalnego życia.

Gruźlica nie jest sprawą wstydliwą. Leczenie dało efekt.

Może z powrotem podjąć studia. Za parę lat... Lonia oczywiście poczeka. Ale jest pewny, że profesor ma

mu za złe ten brak stabilizacji życiowej, Uważa go za pasożyta, łobuza, zawracającego dziewczynie głowę po to, by wygodnie ulokować się w życiu.

—
Może jednak zrozumie?

Z kuchni dobiegały odgłosy wycierania naczyń. Przez otwarte drzwi widział sylwetkę matki, pochyloną nad zlewozmywakiem.

—
Gdzie się wybierasz, synu? — spytała pani Łabęcka, nie odwracając się.

—
Mam dzisiaj ważne spotkanie — odpowiedział starając się, by głos brzmiał raźnie i energicznie!

—
Będę trzymała kciuki! — Teraz dopiero odwróciła się, ukazując dwie małe, zaciśnięte pięści. — Na taki upał w non-ironowej koszuli? W marynarce?

Zawsze, od wczesnego jego dzieciństwa bała się, by się nie przegrzał lub nie przemarzył.

—
Tak wypada, mamo!

Objął ją ramieniem, jak w dawnych, chłopięcych latach, przytulił policzek do jej policzka.

Zamknął starannie drzwi za sobą. Powoli, niemal licząc stopnie schodził po schodach. Na ulicy dopiero przyspieszył kroku. Była godzina 8.55, gdy wchodził na podwórko kamienicy, w której mieszkał profesor.

W głębi podwórza, w piaskownicy, maluchy

pracowicie ustawiały babki. Dwóch chłopczków z zajęciem omawiało jakąś im jedynie wiadomą sprawę. Dolatywały do niego strzępy rozmowy.

—
Widziałeś, jak od razu docisnął do dechy? — Dziewięcioletni może brunecik pracowicie naciskał nogą płytę chodnika.

—
Aha! — przyświadczał z przejęciem drugi, blondas, niewiele starszy od tamtego.

—
Ileż też może wyciągnąć? Samochodiarze — domyślił się uśmiechając pobłaźliwie.

Wszedł do klatki schodowej i biegiem ruszył korytarzem. Teraz chciał już jak najprędzej mieć tę rozmowę za sobą. Bez względu na jej wynik. Zadyszany dopadł drzwi, nacisnął dzwonek. Odczekał chwilę i znowu nacisnął...

W całym domu panowała cisza. Nie mąciły jej kroki mieszkańców, nie zakłócał żaden szmer. W tej ciszy ostro zaskrzypiały otwarte z rozmachem drzwi mieszkania profesora Osadnickiego. Łabęcki wyjrzał na korytarz, a potem biegiem ruszył ku bramie. Na podwórzu wpadł na dwu chłopaków, roztrącił ich.

wypadł za bramę.

—

Ten też ma gaz! — skomentował mały brunecik.

Nie słyszał tego. Biegł ulicą aby dalej od tej kamienicy, od tego domu. Zbrakło tchu. Wyciągnął chustkę z kieszeni, przetarł

spoczone czoło i... wtedy spostrzegł: mankiet koszuli był rozpięty. Nie było przy nim spinki.

Rozejrzał się. Nikt na tej uliczce wąskiej, pełnej drzew, nie zwracał na niego uwagi. Nieliczni przechodnie, zajęci własnymi myślami, mijali go obojętnie.

Nogi odmawiały posłuszeństwa. Czuł, że musi chwilę odpocząć. Przysiadł na ławce na pobliskim skwerku.

Potem powlókł się do domu.

Matki nie było. Wyszła po zakupy. Był rad, że jest sam, że nie musi odpowiadać na żadne pytania. Rozebrał się szybko rzucając rzeczy byle gdzie. Padł na tapczan, kryjąc twarz w poduszkę. Nie mógł jednak zasnąć.

Po raz dziesiąty próbował odtworzyć zdarzenia ostatniej godziny.

— Gdzie ja tę spinkę zgubiłem? — powtarzał z przerażeniem, odrzucając natrętnie prześladowającą go myśl.

—
Zrobi nam pani kawy, panno Zosiu? — zwrócił się Brynicki do młodszej koleżanki, która nawiedzała siedzibę katedry, gdy trzeba było przepisać coś na maszynie.

—
Nie zrobię. Wy, obaj z profesorem, tylko żłopiecie tę czarną kawę.
Wątroba wysiądzie!

—
Skąd u takiej młodej, ładnej osoby skłonność do zajmowania się cudzymi wątrokami? Nie miewa pani bardziej poetycznych myśli?

Panna Zosia przerwała stukanie na maszynie, wyjęła z torebki lusterko, przyjrzała się sobie uważnie, po czym podniosła się z rezygnacją.

—
Miewam! Dlatego właśnie wolałabym, żeby mi pan zaproponował nie robienie kawy, ale spacer po Ła-zienkach.

Wyciągnęła z szafki bibliotecznej, ukryty między foliałami, dobrze już sfatygowany ekspres i wzięła się do przygotowania napoju, o którym pisał

Mickiewicz, że „ma czarność węgla, przejrzystość bursztynu, zapach mokki i gęstość miodowego płynu”.

Istotnie umiała robić kawę. Może nie taką, jaką podawano w Soplicowie, ale znacznie lepszą od tej, którą profesorowi przyrządzała pani Karatowa, pilnie dbając o jego siedemdziesięcioletnie serce.

—
Profesor się spóźnia— zauważył Brynicki zapalając papierosa.

—
Zaraz spóźnia! Dopiero minęła dwunasta. A on od dzisiaj ma urlop —
odpowiedziała Zosia
wyłączając ekspres.

Siadła znowu przy maszynie, wkręciła świeżą kartkę papieru.

Brynicki pochylił się nad książką... Ale nie mógł się skupić. Upał wzrastał, nawet w chłodnych pomieszczeniach uniwersytetu trudno było oddychać. Jedyne myślenie o bliskim już urlopie pozwalała wytrwać na asystenckim dyżurze.

Rzetelną ulgę dawała też świadomość, że rozmowa z profesorem umożliwi podjęcie decyzji, dotyczącej ostatecznej formy pracy doktorskiej. Miał już zgromadzone materiały. Po wakacjach będzie można pisać.

Trzeba jeszcze przejrzeć notatki — pomyślał konstatując równocześnie, że minęła godzina trzynasta.

—
Co z tą kawą, panno Zosiu?

—
Już pewnie wystygła.

Jak pani myśli? Co zatrzymało profesora? On nigdy się nie spóźnia. Może by zadzwonić?

—
Możemy zadzwonić — zgodziła się Zosia wykręcając już numer profesora.

Przeciągły sygnał powtarzał się monotonnie w słuchawce.

—
Pewnie już wyszedł z domu. Może ma jeszcze jakieś sprawunki do załatwienia przed wyjazdem na urlop?

Oboje nie mieli teraz ochoty do pracy. Rozmawiali o jakichś nieważnych sprawach. W pewnym momencie Brynicki zapytał:

—
A „księżycowa panienska” gdzie pojechała na wakacje?

—
Jaka „księżycowa panienska”?

—
Wychowanica profesora, panna Lonia.

—
Nie rozumiem, dlaczego?... Brynicki roześmiał się:

—
Niech się pani nie oburza. Przecież to wcale ładna nazwa. I pasuje do niej.

Zawsze jest. taka poważna, chłodna, pełna godności...

—
A pan pewnie woli takie, co to spojrzysz i już... Lonia wcale nie jest chłodna. Wręcz na odwrót — jest bardzo uczuciowa. Tylko wrodzona jej dyskrecja w sposobie bycia... — zaperzyła się panna Zosia.

—
Nie miałem zamiaru uchybić — tłumaczył się Brynicki i aby uspokoić Zosię, zapytał: — Pani dobrze zna profesora?

—
Oczywiście!

Panna Zosia trochę snobowała się na znajomości naukowe, ale profesora darzyła autentycznym, głębokim szacunkiem, a z Ironią była w dobrych koleżeńskich stosunkach. Wpadały do siebie od czasu do czasu, uma-wiały się na kawę, pogadywały o sprawach mniej i bardziej ważnych. Przed paru dniami odprowadzała Lonię z Karatową na dworzec. Mogła więc wyczerpująco odpowiedzieć Brynickiemu:

— Lonia pojechała nad morze, do Darłowa. Karatowa ma tam przyjaciółkę.

Wynajmują u niej pokój na dwa letnie miesiące.

—
A więc nie Sopot, nie Międzyzdroje, ale zwyczajnie: Darłowo?

—
Ona lubi ciszę i spokój. A tam jeszcze nie docierają tłumy wczasowiczów.

Zosia spojrzała na zegarek:

—
Już prawie druga. Gdzież się ten profesor podziewa? A może ktoś go zatrzymał?

—
Kto go mógł zatrzymać? Zresztą zadzwoniłby przecież.

—
Jak to kto? Stale wszyscy mają do niego tysiące spraw. Wszyscy wykorzystują jego dobre serce, jego czas. Dobrze, że przynajmniej wczoraj spławiłam tego przyjaciela.

—
Jakiego znów przyjaciela?

—
Z partyzantki. Telefonował już nie pierwszy raz.

Parę miesięcy temu też się chciał z profesorem zobaczyć, ale był służbowo w Warszawie i miał niewiele czasu. Profesor prowadził wtedy dwa seminaria, jedno po drugim. Nie chciałam mu przeszkadzać. Więc podałam tylko adres profesora, bo mówił, że chce przynajmniej napisać...

—
No i nie napisał.

—
Może i napisał, nie wiem, nie pytałam. A wczoraj znowu. Ale powiedziałam, że profesor dzisiaj wyjeżdża na urlop, nie będzie więc miał czasu.

Zresztą

profesor zawsze bardzo się wzrusza przy takich spotkaniach, potem przez parę dni chodzi półprzytomny. Lepiej, żeby przed wyjazdem miał spokój.

Zosia zamilkła na chwilę, zamyśliła się. Brynicki pochylił się znów nad biurkiem.

Niecierpliwie przebierał

palcami po blacie, wreszcie podniósł się i podszedł do telefonu.

—
Trzeba jeszcze raz...

W słuchawce jednak w dalszym ciągu odzywał się przeciągły sygnał.

—
Już 15.00! — W głosie Brynickiego zabrzmiał niepokój. — To jednak stary człowiek. Został sam w domu... Taki upał... Może zasłabł?

Ta myśl nic dawała im spokoju. Trzeba sprawdzić.

Brynicki pobiegł po taksówkę. Za chwilę wysiadali przed bramą kamienicy, w której mieszkał profesor.

—
Komenda Stołeczna! Oficer dyżurny. Słucham? — spokojny męski głos umilkł na chwilę.

—
Proszę jeszcze raz powtórzyć!

—
Tak, zrozumiałem! Zaraz przyjedziemy. Proszę niczego nie ruszać.

Brynicki położył słuchawkę i starając się nie patrzeć w stronę rozciągniętego bezwładnie ciała —
podszedł
do Zosi.

Dziewczyna, skulona w dużym, głębokim fotelu, zasłaniała twarz rękoma. Tylko po drzeniu ramion domyślał się, że płacze.

—
Proszę się uspokoić! Już nic nie poradzimy. Milicja zaraz tu będzie —
powtarzał zdając sobie sprawę, że do dziewczyny nie dociera żadne słowo.

—
Kiedy już przyjadą? Może za piętnaście, może za dwadzieścia minut?
Spłoszone myśli przebiegały przez głowę, ustępując miejsca tej jednej: dlaczego?
Jakby odpowiadając na to pytanie, Zosia krzyknęła rozpaczliwie:

—
To był taki zacy człowiek! Wszyscy go lubili!
Za drzwiami rozległy się kroki. Po chwili pokój wypełnił się ludźmi.

—
To państwo zawiadomili o wypadku? — kapitan milicji, wysoki, dobrze zbudowany młody człowiek, zwrócił się do Brynickiego.

—
To my! — Brynicki patrzył w pomieszaniu na mężczyzn, skupionych wokół ciała profesora.

—
Niczego państwo nie ruszali? To dobrze!

—
Pan jest, to znaczy... pan był asystentem profesora Osadnickiego? —
kapitan zwracał się wyłącznie do Brynickiego, jakby chcąc dać dziewczynie czas na uspokojenie się.

—
Tak, byłem asystentem... — Brynicki relacjonował przedpołudniowe wydarzenia.

W czasie ranej rozmowy telefonicznej nic wyczuł żadnego zdenerwowania w głosie profesora. Starszy pan był w dobrym humorze. To był pierwszy dzień jego urlopu. Miał wyjechać za granicę. Jak co roku.

—
Czy mówił coś więcej na temat tego spotkania o dziewiątej?

—
Nic. Zauważył tylko, że to nie potrwa długo. Nie mówił, z kim ma się spotkać.

Dzwonili po trzynastej, nikt nie podnosił słuchawki. Zaczęli się niepokoić, bo profesor był bardzo

punktualny. Nigdy się nie spóźniał. Miał zwyczaj powtarzać, że „punktualność jest grzecznością królów”. Powtórnie usiłowali się połączyć o piętnastej. Gdy i tym razem nie usłyszeli głosu profesora, postanowili przyjechać. Ot i wszystko.

—
Drzwi były zamknięte?

—
Nie! Otwarte! A właściwie przymknięte — Brynicki mimo zdenerwowania starał się odpowiadać dokładnie. — I okno było również otwarte. Tak jak teraz.

Kapitan przerwał na chwilę pytania usłyszawszy dochodzące z fotela szlochanie.

Wyszedł do przedpokoju, poszukał drzwi do kuchni. Z małego kredensiku wyciągnął szklankę, napełnił wodą i wrócił do gabinetu.

—
Proszę — zwrócił się do dziewczyny.. Trzęsącymi się rękoma podniosła szklankę do ust...

—
Może już pani odpowiadać? Odpowiadała. Niezbyt składnie, gubiąc słowa, zdołała wyjaśnić, że profesor mieszka wraz z wychowanicą i gospodynią.

—
Gdzie są obie panie?

—
Wyjechały nad morze, do Darłowa.

—
Bliższy adres?

Bliższego adresu nie знаła, ale zapewne wśród zapisków profesora będzie można znaleźć...

—
Poszukamy! Dziękuję panu! I pani! — Kapitan skłonił się Zosi. próbującej doprowadzić do porządku splakaną twarz. — Zanotujemy tylko nazwiska i adresy. Jeszcze niewątpliwie będziemy musieli porozmawiać.

Proszę odprowadzić panią — zwrócił się znowu do Brynickiego. — Przyda się jej trochę odpoczynku. Wychowanicę profesora zawiadomimy sami!

—
Zaczynamy, chłopcy — powiedział, gdy zamknęły się za nimi drzwi.

Za chwilę w pokoju rozbrzysły flesze. Technicy rozkładali walizki. Lekarz pochylony nad zwłokami doko-nywał oględzin. Kapitan powędrował w głąb mieszkania.

Wprawnym okiem zlustrował małą, w idealnej czystości utrzymaną kuchnię. Na kuchennym stole, w srebrnym koszyczku, spostrzegł kawałek chleba, nie rozpieczętowaną butelkę mleka. Na kuchence gazowej mały czajnik...

W dwóch pokojach, połączonych drzwiami, panował porządek, jedynie parodniowy kurz pokrywał sprzęty.

Również w łazience wszystko było poukładane i wysprzątane.

Dramat rozegrał się w gabinecie profesora. I tylko w gabinecie porozrzucane były papiery, wyrzucone z szafy rzeczy. Sprawca tylko tam czegoś szukał.

Mord rabunkowy? — zamyślił się kapitan. — Ba! Trzeba by wiedzieć, czy coś zginęło.

—
Jurek — zwrócił się do kolegi, porucznika Łęskiego. — Dasz dzisiaj komunikat do radia:

„Leokadia Sa-

łakowska, przebywająca nad morzem, proszona jest o powrót do domu w ważnej sprawie rodzinnej". Jutro rano powinna być już tu, na miejscu.

—
Dziewczyna się przestraszy.

—
A co lepiej? Telegram, że dziadka zamordowano? Ten Brynicki mówił, że była do niego bardzo przywiązana. A poza tym na razie nie znaleźliśmy adresu.

Zresztą wolę, by się dowiedziała na miejscu.

—
Dobrze! Skoro tak uważasz...

Porucznik Łęski zagłębił się w wygodnym fotelu. Był zmęczony. Miał za sobą dwie pracowite noce. Nie zdołał jeszcze otrząsnąć się z głębokiego snu, gdy zadzwonił jego przyjaciel i zwierzchnik — kapitan Janusz-kiowicz. Stawił się natychmiast, ale teraz, po paru godzinach pracy, znużenie ogarniało go ponownie. Korzystał

skwapliwie z chwili wypoczynku, nie przerywając ani słowem milczącej wędrówki kapitana. Z fotela ustawio-nego w rogu pokoju ogarniał wzrokiem całe wnętrze. Ten pokój i następny, połączony rozsuwanymi drzwiami, niewątpliwie należały do wychowanicy profesora i jego gosposi. Zdradzały to liczne kobiece drobiazgi, kolorowe, miękkie poduszki' na tapczanach.

Z kontemplacji wyrwał go głos kapitana:

—
No, to leć do tego radia! Ja jeszcze zostanę.

—
Będziesz tu nocował? Kapitan Januszkiewicz przerwał na chwilę swój spacer po pokoju:

—
Jeśli będzie trzeba...

—
Zadzwoń do ciebie rano. — Łęski już poderwał się z fotela. — Możesz sobie nastawić radio, na pewno po Dzienniku poleci komunikat. No, to cześć, Witek! — rzucił spieszenie, widząc, że kapitan podejmuje wędrówkę po pokoju.

Znowu całą noc tak będzie chodził — myślał z troską o

przyjacielu, — Kiedyś mówił, że mu to pomaga w myśleniu. Może i pomaga — kontynuował w duchu monolog, ale jutro będzie niewyspany, a ta sprawa — tak na oko rzecz biorąc — nie da się rozwiązać w jedną noc.

—
Znaleźliście coś? — kapitan tarł czoło jak człowiek próbujący otrząsnąć się z męczących myśli.
Technicy pakowali powoli swój sprzęt.

—
Cały garnitur odcisków. Zobaczymy, co z tego wyjdzie.

—
A poza tym?

—
Nic!

To, co było do zrobienia, zostało zrobione. W gabinecie profesora jaskrawe światło wydobywało z całą ostrością każdy szczegół. Nieład panujący na biurku, rozsypane papiery, walające się na podłodze koszule, części męskiej garderoby, stojącą na małym stoliku kolorową filiżankę z resztką nic dopitej kawy...

—
No, to dziękuję! Cały materiał na jutro!

Spojrzał na zmęczonych ludzi, pomyślał, że nie prześpią tej nocy ani godziny...

Żaden nie zaprotestował.

Twarde chłopaki!

Pożegnał się uściskiem dłoni.

—
Pan kapitan zostaje?

—
Jeszcze trochę zostanę!

Zamknął za nimi drzwi. Wracając do gabinetu profesora zorientował się, że późny letni wieczór już zapadł, Przekręcił szybko gałkę radia, stojącego na stylowym stoliku.

Spiker kończył odczytywanie Dziennika, Chwila ciszy i znowu rozległ się jego spokojny głos.

—
Nadajemy komunikat: Leokadia Sałakowska proszona jest...

Zamknął radio. Podeszedł do okna, otwartego na całą szerokość. Brynicki mówił, że, gdy weszli do mieszkania, było również otwarte. Zamyślił się. Reasumował

znane już fakty: Profesor został zastrzelony. Strzał padł

z bezpośredniej odległości, w każdym razie mniejszej niż 50 cm, o czym świadczyły osmaliny i drobiny prochu wokół miejsca wlotu pocisku. Oznaczać to może tylko jedno: sprawca działał błyskawicznie, podeszedł tuż do profesora. Ale świadczy to jeszcze i o tym, że starszy pan nie bał się tego człowieka, skoro dopuścił go tak blisko. Ponadto należy wnosić, że sam go wpuścił do mieszkania.

Czyżby to ktoś ze znajomych profesora, z najbliższego kręgu?

A to otwarte okno?

W ten upalny dzień we wszystkich mieszkaniach były otwarte okna.

Czyżby nikt nie słyszał huk wystrzału? Ulica spokojna, cicha... W takiej ciszy strzał słysząc daleko.

Jurek Łęski zdążył po południu obejść mieszkania sąsiadów profesora. Nieliczni, którzy jeszcze nie wyjechali' na wakacje, nie dostarczyli żadnych ciekawych informacji. Zresztą Jurek rozmawiał ostrożnie, nie zdradzając celu pytań.

Lepiej nie budzić sensacji. Dowiedział się tylko, że tego rana jak zawsze na podwórku bawiły się dzieci.

Trzeba będzie delikatnie porozmawiać z dziećmi. Może coś słyszały?

Zauważyły?

Przypomniał sobie dziewięcioletniego synka kolegi. Bystry chłopak! Dzieci zresztą wszystkie są takie. Mają zainteresowania, o jakich się nam nie śniło.

A jeśli sprawca użył tłumika? Tak. wtedy i to otwarte okno mu nie przeszkodziło.

Ale nie trzeba się niczym sugerować — upomniał sam siebie. Przebiegł więc jeszcze tylko w myśli efekt pierwszych czynności.

A łuska? — Wrócił jeszcze pamięcią do chwili, gdy Jurek grzebiący pod komódką wyciągnął mały, połyskliwy przedmiot. — Chłopaki się teraz męczą — pomyślał o kolegach ekspertach.

Niebo za oknem nabierało intensywnej czerni. Chwilę jeszcze powstał pr/y oknie, paląc papierosa.

Trzeba się jeszcze raz dobrze rozejrzeć —

postanowił zmierzając do biurka. Na płycie tego staromodnego mebla kłębiły się Stosy kartek i zdjęć.—Na samym wierzchu, przewrócona, leżała srebrna ramka.

Podniósł ją.

odwrócił: z misternie cyzelowanej srebrnej oprawy uśmiechały się do niego oczy der lächelnden Polin.

Regelinda — odszukał w pamięci imię piastowskiej księżniczki, której pomnik w katedrze w Naumburgu do dziś zachwyca wszystkich zwiedzających.

Ustawił ramkę ostrożnie i pieczołowicie tak, by światło biurowej lampy, stojącej w rogu biurka, padało tylko z ukosa na twarz księżniczki, wydobywając przede wszystkim ten śliczny uśmiech.

Stary historyk niejedną zapewne godzinę spędzał przy tym biurku, pisząc prace naukowe, ze strzępów informacji wydobywając prawdę minionych wieków.

To chyba te notatki — pomyślał pochylając się nad rozsypanymi kartkami.

Jedna z nich, leżąca tuż z brzegu, zapisana była atramentowym ołówkiem.

Czytał:

„Wczoraj zginął Tadeusz! Nie wrócił z minowania! W powietrze wyleciał pociąg z czołgami i amunicją.

Chłopcy opowiadali, że ziemia drżała od wybuchów. Ciała nie odnaleźli. Kiedy skończy się ten koszmar"?

W samym rożku kartki widniała, wypisana wyraźnie atramentem, liczba 65.

To chyba znacznie później wpisane — zastanowił się porównując pismo. Słowa pisane ołówkiem były miejscami pozacierane. Atrament zaś użyty • został chyba niezbyt dawno.

Co oznacza ta liczba?

Chyba numer stronicy— odpowiedział sam sobie.

Istotnie miał rację. Przekonał się o tym, gdy wziął do ręki następne kartki. Miały również w rogu wpisane liczby, przy czym te dwie, które trzymał w ręku, oznaczone były kolejno liczbami: 85 i 86.

Fragment większej całości? — Czytał znowu, już zemocjonowany:

„Odchodzimy głębiej w lasy. Zwiad doniósł, że Niemcy przygotowują przeciwko nam akcję. Niemcy zgru-powali czołgi, posuwa się w naszą stronę artyleria, pojawiły się w zwiększonej liczbie

oddziały policyjne.

Co stanic się z ludźmi, którzy tu zostają? Pod osłoną naszych oddziałów czuli się bezpieczni. Nie były dla nich groźne różne krążące w okolicy bandy. Gdy my odejdziemy... Nie chcą przesunąć się na bezpieczne tereny. Ktoś ich uspokaja.

Ciągle są zbyt ufni".

Kapitan oderwał się na chwilę od zapisanych drobnym pismem kartek. Wygasił światła w całym mieszkaniu. Przysunął krzesło do biurka.

Trzeba to poukładać według stron.

Lektura tych małych, pożółkłych kartek zaczynała go wciągać. Człowiek, który zapisał te kartki, stawał mu się bliski. Już nie myślał o nim: denat. Myślał inaczej, ciepło: stary profesor.

Bo były to niewątpliwie notatki profesora. Stwierdził to, wydobywając z szuflady biurka teczkę, w której posegregowane leżały dokumenty. Wśród nich zaś starannie wykaligrafowany życiorys. Pismo było identyczne jak na pożółkłych kartkach. A w danych biograficznych wyczytał: lata 1942—1944 — udział w partyzantce. W

końcowych fragmentach życiorysu wyliczone zostały wysokie bojowe odznaczenia.

Nie trafiła go kula hitlerowska — pomyślał. — A teraz zginął z ręki bandyty.

Mężczyzna zmiął nerwowo pustą już paczkę.

Ostatni papieros. Trzeba będzie kupić w najbliższym miasteczku — pomyślał.

Prawą rękę opierał mocno na kierownicy, lewą pogrzebał w kieszeni i wyjąwszy zapalniczkę zapalił papierosa. Wóz szedł równo, spod kół umykał gładki asfalt szosy. Ani na chwilę nie zwolnił szybkości. Zostawiał za sobą inne samochody, mijał

autostopowiczów stojących na skraju drogi i unoszących ręce w sakramentalnym geście — prośby o

zatrzymanie.

Lubił szybką jazdę. Dzisiaj jednak, nie uczuciem przyjemności wiedziony, dociskał dźwignię gazu. Spieszył się. Miał przed sobą wiele kilometrów.

Niepokój, drażący mózg i szarpiący nerwy, zelżał nieco, gdy minął

tablicę oznaczającą granicę wielkiej Warszawy. Ulice miasta wyciągały się w kilometry, ale ani na chwilę nie przyspieszył powyżej 50 km. Pamiętał: byle drobiazg może zmienić wszystko to, co obmyślał w ciągu wielu miesięcy.

Dopiero teraz mógł przyspieszać.

Setka na liczniku! Jeśli zdąży wszystko załatwić, będzie mógł ten dzień wykreślić ze swojej pamięci. Dni będą płynąć znowu, podobne jeden do drugiego; nudne, ale spokojne.

Było późne popołudnie, gdy zwolnił nieco. W oddali ukazało się czarne pasmo lasu, dochodzące tuż do drogi. Zbliżało się powoli. Spoglądał teraz w lusterko.

Szosa za nim była pusta. Po prawej stronie mignęła wśród drzew przecinka.

Minął ją zwolnił całkiem, potem zawrócił i ostrożnie wjechał między drzewo.

Chwilę jeszcze posiedział, odpoczywając i wodząc leniwie wzrokiem po konarach.

Ktoś, kto by go obserwował, mógłby pomyśleć, że przyjechał na wycieczkę, by odetchnąć powietrzem i za-chłysnąć się ciszą. Ale w chwilę potem patrzyłby już nieco zdziwiony.

Mężczyzna bowiem wysiadł, pogrzebał chwilę w bagażniku, po czym wyjął

puszkę, pędzel i zabrał się do malowania prawego błotnika samochodu. Kłął przy tym z cicha. Lakier, którego barwa w puszcze wydawała się identyczna z kolorem samochodu, był jakby o ton ciemniejszy.

A może mi się tak wydaje? — zadawał sobie pytanie mężczyzna. W świetle słońca, przebijającego się przez listowie drzew, lakier mógł nabierać innych tonów.

—

Zobaczymy, gdy całkiem wyschnie — mruknął do siebie.

Odszedł parę kroków w głąb lasu i starannie zakopał puszkę oraz pędzel.

I

właściwie po co te wszystkie ostrożności? — pomyślał. — Gonię już w piętę. Ostatecznie co dzień zda-rzają się setki drobnych kraks, kto by mógł

zapamiętać taki drobiazg? Kto tak uważnie ogląda każdy pojawiający się w polu widzenia samochód? Bzdura! Ponoszą mnie nerwy.

Wciskał się na trawie, podłożył ręce ood ałowe.

Miał ważniejszą sprawę do przemyślenia aniżeli takie drobiazgi, jak rysa na błotniku.

Jeszcze raz zastanowił się, czy nie popełnił żadnego błędu.

Więc najpierw te telefony. Zaraz, jak to było?

Przypomniał sobie wydarzenia sprzed paru miesięcy.

Zobaczył w księgarni tę książkę. Najpierw rzuciła mu się w oczy barwna okładka, potem dopiero nazwisko autora. Wszedł do księgarni i kupił. Ze wstępu do książki dowiedział się, że autor jest profesorem historii Uniwersytetu Warszawskiego.

Długo wahał się, ale wreszcie postanowił pojechać do Warszawy. Z automatu zadzwonił do katedry historii. Młody, sympatyczny głos poinformował, że profesor prowadzi właśnie seminarium. Poprosił o adres do-mowy.

Jeśli się jest przyjacielem profesora z partyzantki — prośba o adres nikomu nie wyda się dziwna.

Potem kilkakrotnie krążył wokół tego domu. Kiedyś wieczorem wszedł nawet do korytarza. Na tablicy zobaczył nazwisko profesora, obok zaś dwa inne. Profesor nie mieszkał sam. To powstrzymało go od złożenia wizyty.

Dopiero wczoraj, w telefonicznej pogawędce, miły głos z katedry profesora poinformował, że niestety, ale nawet z wychowanką profesora nie będzie się mógł spotkać, bo już wyjechała z gospodynią na wakacje. A sam profesor też właśnie na wyjeździe...

Powiedział wtedy, że wobec tego chyba zrezygnuje, może następnym razem będzie miał więcej szczęścia.

W lesie kładł się coraz dłuższy cień. Mężczyzna podniósł się wolno, podszedł do samochodu. Dotknął palcem błotnika. Szybko schnący lakier już przylgnął na trwale do metalu.

Można jechać! Znowu ostrożnie wyprowadzał wóz z przecinki. Po chwili wyjechał na pustą szosę.

Było rano, gdy kapitan Januszkiewicz., zmęczony, wstał od biurka. Poszedł do łazienki, zimną wodą umył

twarz. Senność odchodziła, poczuł się lepiej.

Nagle w zamku u drzwi wejściowych zazgrzytał klucz. Kapitan wyszedł do przedpokoju. W szeroko otwartych drzwiach stała młoda dziewczyna. Była drobna, krucha, niepodobna do tych wysokich, długonogich, wy-sportowanych dziewcząt, których tyle widuje się na ulicach. Jasne włosy miała spięte na karku.

W szczupłutkiej twarzy ciemne oczy wydawały się ogromne.

Stała zaskoczona, trzymając w ręku niedużą podróżną torbę.

—
Kto pan jest? — wykrztusiła wreszcie.

—
Pani pozwoli. Zaraz wszystko wyjaśnię. Kapitan Januszkiewicz. Z milicji.

—
Z milicji? — I jakby nagle się ocknęła: — Co z dziadkiem? Gdzie dziadek?

Wyjął jej z rąk torbę, omijając drzwi do gabinetu profesora, prowadził do pokoju naprzeciw.

—
Co się stało? Jakiś wypadek? — dopytywała gorączkowo.

—
Muszę pani zakomunikować... — zaciął się szukając jakiegoś najmniej drastycznego sformułowania. —

Muszę...

Spojrzał na nią: już zrozumiała.

—
Dziadek nie żyje! — powiedziała cicho i dziwnie spokojnie. Odwróciła się i poszła prosto do gabinetu profesora.

Chwilę czekał. Z gabinetu nie dobiegał nawet szmer. Stąpając, jak umiał

najciszej, podszedł do otwartych drzwi. Spojrzał w głąb. Stała przed biurkiem.

Nie płakała. Usłyszała jednak jego kroki, odwróciła się:

—
Proszę mi powiedzieć, jak to się stało?

Głos miała nadal spokojny, nie uchwycił w nim drżenia. Tylko opalona twarz była szara jak popiół.

—
Opowiem. Wszystko pani opowiem. Pani musi nam pomóc. Jeszcze niewiele wiemy— mówił szybko wyprowadzając ją z gabinetu.

Wzdrygnęła się i przyspieszyła kroku.

—
Profesor, pani dziadek — zagajał znowu pospiesznie rozmowę, gdy usiadła na tapczanie.

—
Profesor nie był moim dziadkiem. Nazywałam go tak jednak od dzieciństwa. Wychowywał mnie.

Rodziców nie pamiętam. Miałam trzy lata, gdy zginęli w wypadku samochodowym. Proszę, niech pan spocznie —

pokazała mu fotel obok.

Przy tym ruchu ręki spostrzegł na palcu dwie złote obrączki połączone czarną obwódką z emalii.

Nikt teraz takich nie nosi — konstatował w myśli. — Dziwna dziewczyna! I dzielna.

Siedziała wyprostowana, małe ręce złożyła na kolanach. Cicho mówiła dalej:

—
Mój rodzony dziadek, ojciec tatusia, zginął w partyzantce. Profesor był

jego przyjacielem. Opowiadał

mi, że stało się to w czasie akcji. Dziadek był

minerem. W ostatniej chwili, gdy już pociąg z Niemcami i amunicją gnał po torze, odpalił minę.

Pociąg wyleciał w powietrze. Dziadek nie wrócił z akcji.

Potem, po wojnie, profesor opiekował się ojcem. Karatowa — to jest nasza gospodyni — opowiadała, że gdy ojciec się ożenił, profesor bywał często w domu rodziców. Mówił do nich: moje dzieci.

Zamyśliła się. Po chwili jednak podjęła przerwany wątek.

—
Profesor, czyli mój przybrany dziadek, wziął mnie do siebie po śmierci rodziców. I Karatową też.

Ona była przywiązana do mnie, nie chciała odejść.

Zresztą, nie miała gdzie. Rodziny nie ma, wcześniej owdowiała...

Ale proszę mi powiedzieć...

Pokrótce, unikając przykrych szczegółów, opowiedział, jaką sytuację zastali po przyjeździe do mieszkania.

Słuchała uważnie. Gdy padło słowo: morderstwo, dziewczyna jakby skuliła się, ale za chwilę już prostowała drobną sylwetkę.

—
W czym mogę pomóc?

—
Pani prosto zdrogi, zmęczona, może potem...

—
Nie jestem zmęczona. W czym mogę pomóc — powtarzam...

—
Zaraz...

Usłyszał kroki. Podeszedł znowu do drzwi. To byli ludzie z grupy operacyjnej.

Razem weszli do gabinetu.

—
Chcieliśmy ustalić, czy coś zginęło z mieszkania

—
zwrócił się do Loni.

Popatrzyła po ścianach:

—
Dużą wartość mają obrazy. Ale są wszystkie. Kossak, Fałat... I ten Bartkowski. Profesor lubił szczególnie obraz Bartkowskiego: w szarym przedwieczornym zmroku krakowskie wieże. Ta z prawej — ratuszowa.

Blżej ku środkowi fragment murów obronnych — objaśniała.

—
A papiery, notatki? Podeszła do biurka.

—
To są notatki profesora z partyzantki. Taki mały dziennik. Ostatnio segregował je. Mówił, że chce opracować swoje wspomnienia z tego okresu.

Wszystko pomieszane...

Zwróciła się znowu do kapitana:

—
Nie mieliśmy innych cennych rzeczy. To znaczy meble, obrazy, trochę starej porcelany... No i moje drobiazgi.

Podeszła do szafy, sięgnęła ręką w głąb jednej z półek, chwilę szukała. Wyjęła małe pudełko.

—
Puste!

—
Co w nim było?

—
Moje pierścionki po mamie, medalik na łańcuszku, bransoletka...

—
Proszę opisać, jak wyglądały. Dyktowała cicho, obracając w ręku puste pudełko.

—
A Karatowa mówiła, że właśnie tu są bezpieczne, w szafie dziadka, między bielizną — dodała, jakby usprawiedliwiając się.

O święta naiwności — pomyślał — każdy złodziej wie, że kobiety mają zwyczaj chować takie rzeczy między bielizną.

Nie powiedział jednak nic. Niechże przynajmniej dziewczyna nie ma żalu do tej swojej Karatowej. Chociaż? Ona nie wygląda na taką, której zależy na biżuterii.

Przypomniał sobie jej drobne ręce. Tylko na jednym palcu te dwie obrączki z czarną obwódką. Chyba też po rodzicach?

—
Czy jeszcze coś? — spytał.

—
Chyba nie. Zresztą muszę się rozejrzeć.

—
Słusznie! Będzie pani miała jeszcze czas się rozejrzeć. A teraz może się pani położyć? My lu musimy jeszcze popracować. Nie będziemy pani przeszkadzać.

—
Dziękuję! — Od drzwi odwróciła się: — Gdyby panowie chcieli się czegoś napić...

—
Poradzimy sobie — pospieszył z odpowiedzią jeden z techników.

— Biedactwo — westchnął, gdy zostali sami.

Mijały godziny. Pracowali w milczeniu. Od czasu do czasu tylko któryś prostował się, sięgał po papierosa, zaciągał się głęboko i szybko, po czym wracał do poprzednich czynności. Wszystko dokładnie zostało już przejrane, zapisane. Na biurku i stole leżały przygotowane teczki, stos papierów.

—
Musimy to dokładnie przestudiować — powiedział Januskiewicz przechodząc do przedpokoju, gdzie porucznik Leski pracowicie — centymetr po centymetrze — badał podłogę.

—
Masz już jakąś koncepcję? — Jurek Łęski podniósł głowę znad parkietu.

—
Mówisz, jakbyś pierwszy rok pracował w milicji. Tylko w kiepskich kryminałach genialny kapitan w ciągu jednej nocy wykrywa sprawcę. Potem idzie spać. a gdy się budzi, dzwonią już z Komendy, by nadstawiał pierś pod ordery.

—
Nie wyspałeś się, Witek, i dlatego jesteś zgryźliwy. Pytam, bo dziwię się, że sprawca zabrał tylko takie drobiazgi. Te Kossaki i Fałaty są o wiele więcej warto niż parę pierścionków. A ten świecznik widziałeś? Ciężkie, kute srebro!

Też swoje parę tysięcy kosztuje.

—
Może się nie zna na sztuce? A w ogóle kto ci powiedział, że to wziął sprawca mordu? Do wróżki chodziłeś? Brynicki mówił, że drzwi mieszkania były otwarte. Mogło tu być po nim dziesięciu innych L.. — przerwał nachylając się ku Łęskiemu... — Co tam masz?

—
Chwileczkę... — Łęski delikatnie uniósł obudowany taboret. Pod taboret, wśród kurzu błyszczał jakiś mały przedmiot. — Spinka! Jaka piękna!

— Jurek, amator takich drobiazgów, oglądał ją ze wszystkich stron.

Była kwadratowa. Na gładkiej złotej tafelce wygrawerowany był jelonek, wspinający się do skoku.

—
Myśliwski emblemat — zauważył kapitan. — Wiesz, Jurek, znałem faceta, który kolekcjonował takie rzeczy. Miał guziki z takimi emblematami, spinki, szpilkę do krawata, nawet szklanki i kieliszki.

—
Popatrz! — wskazywał Łęski. — Niedawno musiała się potoczyć pod taboret Na równiutkiej warstwie kurzu istotnie wyraźnie odznaczało się jaśniejsze, wąskie pasemko.

Kapitan wyciągnął czystą chusteczkę, owinał w nią troskliwie znaną spinkę.

—
Róbcie swoje dalej — rzucił Łęskiemu. — Ja muszę być w Komendzie.

Dziewczynie nie przeszkadzaj-cie. Niech się wyśpi. Gdy się zbudzi, poproś, by się zgłosiła do mnie w Komendzie.

Zamknął starannie drzwi za sobą.

Była dziesiąta rano. Na podwórku, w słońcu, hasały paroletnie szkraby.

Szczęśliwy wiek — pomyślał. — Niech się bawią. Za siebie i... za nas. My nie mieliśmy spokojnego dzieciństwa.

Za rogiem czekała milicyjna Warszawa.

—

Wy co tu robicie — huknął na kierowcę. — Wczasy w mieście uprawiacie?

—

Pan porucznik Łęski kazał czekać. Mówił, że pan kapitan pewnie całą noc nie spał... żeby podwieźć.

—

No to podwieźcie! — rozchmurzył się. rozbrojony troską Łęski ego.

—

Do domu?

— Nie. do Komendy!

Odprowa się kończyła. Pułkownik reasumował zwięźle wyniki kilkudziesięciogodzinnej pracy.

Wyniki sekcji zwłok: strzał spowodował w konsekwencji rozerwanie serca oraz oderwanie tętnicy głównej, a w następstwie natychmiastową śmierć. Co tu napisane?.. Aha, pocisk utkwiał... itd. To już wiemy.

Odciski? W gabinecie profesora tylko jego oraz na telefonie — Brynicki ego.

W innych pokojach: reszty domowników. To jasne: sprawca działał w rękawiczkach.

No pewnie — mruzczał pułkownik — w każdym kryminale instrukcje.

Pułkownik nie znosił powieści sensacyjnych, tzw. kryminałów.

Ustalono — kontynuował dalej wyniki ekspertyz — że sprawca użył pistoletu „Parabellum” kaliber 7.62 mm.

Co wy na to, kapitanie?

No cóż— Januszkiewicz zamyślił się na chwilę — pistolet niemiecki. W czasie okupacji brać partyzancka zaopatrywała się w nie po udanych akcjach przeciwko Niemcom. Sporo tego pozostało po wojnie. Znajdowano porzucone, zakopane... Jak myślicie: kto dzisiaj mógłby się taką bronią posługiwać?

Na to trudno znaleźć odpowiedź. Sprawca mógł ją przechować z okresu wojny, mógł także znaleźć po wojnie, przypadkowo.

Co jeszcze? — pułkownik naciskał kapitana.

Januszkiewicz zrelacjonował pokrótce podjęte czynności.

Pułkownik podniósł się zza biurka.

Wobec tego kończymy. Kapitanie, prowadzicie dalej według planu.

Rodzina może odebrać zwłoki, dru-kować nekrologi. Prasie ogólną informację.

Bez szczegółów. To wszystko.

Podnosili się energicznie. Kapitan Januszkiewicz się nie spieszył. Szedł wolno korytarzem do swego pokoju, myśląc o notatkach profesora. Jeszcze nie zdołał doczytać ich do końca.

Teraz będzie mógł usiąść spokojnie i zagłębić się znowu w ich treść. Grupa operacyjna pracowała spraw-nie. Nie był im potrzebny. Zresztą Łęski pilnował wszystkich czynności.

To zdolny oficer— myślało przyjacielu.

Kolegów nie poznajesz? — zabrzmiał tuż przy nim znajomy głos.

Jak się masz. Zbyszek? -°- wyciągnął rękę do kolegi. — Zamyśliłem się. A ty z urlopu? Doskonale wy-gładasz.

Kapitan Zbigniew Kukłowski nie zamierzał poprzestać na tej krótkiej wymianie zdań.

—
Chodź do mnie, zrobię kawę. pogadamy... Wyłączyłem się całkiem z pracy. Nie wiem w ogóle, co się dzieje. No. nie namyślaj się, idziemy!

Zeszli dwa piętra niżej. Kukłowski urzędował w małym pokoiku, dość ciemnym i ponurym.

—
Siadaj — podsuwał krzesło przyjacielowi.

Wyciągnął z szafy garnuszek, grzałkę elektryczną, wybiegł na korytarz po wodę.

Za chwilę postawił na stoliku dwie szklanki kawy.

—
Gadaj!

—
Niewiele mam do opowiadania. Jak zawsze dużo pracy.

—
Co robisz teraz?

—
Teraz... — zamyślił się. — Wiesz, został zamordowany w swoim mieszkaniu profesor Osadnicki. Historyk. Przecież ty go powinieneś znać

—
ożywił się nagle. — Masz tylu znajomych w uniwersytecie.

Kapitan Zbigniew Kukłowski istotnie miał wielu przyjaciół i znajomych wśród pracowników naukowych uniwersytetu.

—
Oczywiście, że znałem. Niezbyt blisko, ale znałem. To był uroczy starszy pan. Studenci go uwielbiali.

Pięknie wykladał, kochał młodzież. To był wybitny naukowiec i pedagog. Kto go zabił?

—
Tego jeszcze nie wiemy. To się stało trzy dni temu. Ale może opowiesz mi coś jeszcze o nim?

Kapitan Kukłowski podniósł szklankę do ust, popił kawę:

—
Wiesz, rozmawiałem z nim parę miesięcy temu. Poprosiłem go tutaj, do Komendy. Prawie cztery godziny trwała ta rozmowa...

—
O historii?

—
Żebyś wiedział!

—
No. to może sobie zawód zmienisz? Historia — piękna gałąź nauki...

—
Nie kpj, Witek! Mówiliśmy o historii, ale tej niezbyt odległej. Słowem: pokazałem profesorowi fotografię pewnego człowieka. Jego okupacyjny życiorys podobno nie przedstawia się zbyt pięknie. Tak mówią świadkowie. Ale on się zapiera. Twierdzi, że świadkowie mylą go z kim innym. To oczywiście jest prawdopodobno.

Po dwudziestu paru latach można rodzzonego brata nie rozpoznać. Profesor uczył przed wojną w małym prowincjonalnym miasteczku. W czasie okupacji poszedł z tego miasteczka do lasu. Być może znał tego człowieka?

Tamten też mieszkał w tym miasteczku przed wojną.

—
No i co? — zaciekał się Januskiewicz.

—
I nic. Nie rozpoznał. Twierdził, że ma doskonałą pamięć wzrokową ale że ta twarz z fotografii jest mu nie znana.

—
O co konkretnie podejrzewasz tego człowieka z fotografii?

—
O przynależność do jednej z band. działających w czasie okupacji. Ale wróćmy do profesora. Otóż w czasie tej rozmowy opowiadał wiele właśnie o działalności tych band. Krwawo się zapisały w pamięci ludzi z tamtych terenów.

Oczywiście znam te sprawy z licznych publikacji, ale profesor opowiadał szczegóły z wła-snych przeżyć. Mówił też o partyzantce. Oni walczyli w bardzo trudnych warunkach.

—
To był dzielny i mądry człowiek. Czytam teraz jego notatki z tamtych czasów. — Kapitan podniósł się z krzesła. Muszę już iść!

Dziękuję za kawę. Wpadnę do ciebie, gdy będę miał trochę czasu.

Lonia siedziała przed biurkiem kapitana, spokojna i opanowana. W ciągu tych dwu dni, które minęły od jej przyjazdu, zmieniła się ogromnie. Jej drobna twarz jakby zmaląła, oczy wydawały się jeszcze większe.

—
Pan chciał ze mną rozmawiać?

—
Może papierosa? — kapitan wyciągnął papierośnicę.

—
Dziękuję, nie palę. Czy panowie już coś wiecie?

Powiedziała te dwa zdania jakby jednym tchem. Widać było, że tylko po to tu przyszła, tylko o to jej chodziło. Uzyskać odpowiedź...

—
Jeszcze nic... Robimy wszystko, co możliwe — tłumaczył. — To musi potrwać.

Odchylił szufladę biurka, wyjął plik kartek.

—
To pamiętniki profesora. Te z partyzantki... Już ułożyłem kartki według numeracji stron. Kilku brakuje.

Co pani o tym sądzi?

—
Dziadek był bardzo skrupulatny. Po to właśnie ponumerował strony, by zapiski uporządkować. To niemożliwe, by paru kartek brakowało. Pewnie są jeszcze w domu, poszukam.

—
Czytała pani te notatki?

—
Nie czytałam. Dziadek mówił, że da mi je przejrzeć, gdy zostaną przepisane na maszynie.

Uniosła się z krzesła:

—
Czy to już wszystko?

—
Jeszcze nie wszystko!

Sięgnął znowu do szuflady, wyciągnął pieczołowicie złożoną chusteczkę, rozwijał powoli.

—
Czy widziała pani kiedykolwiek tę spinkę?

Nachyliła się nad biurkiem, spojrzała. Wydawało mu się przez chwilę, że rozpoznaje. Ale już znowu wyprostowała się, odwróciła oczy od spinki.

Tonem bardziej oschłym, niż miał zamiar, powtórzył:

—
Widziała pani...

—
Nigdy — przerwała mu gwałtownie w pół zdania.

—
Nigdy tego nic widziałam.

Dlaczego tak się zdenerwowała? — zastanowił się. Potem znowu zawiązał spinę w chusteczkę.

—
Dziękuję pani! To wszystko. Na razie...

Nie powiedziała: do widzenia! Skinęła tylko głową. Patrzył za nią, gdy szła do drzwi. W jakiejś ciemnej, niemodnej już sukience wyglądała żałośnie.

Dzwonek telefonu wyrwał go z zamyślenia. Basia, sekretarka, meldowała przepisowo:

—
Zgłosił się obywatel Brynicki. Twierdzi, że...

—
Dobra, dobra! — przerwał. — Poproś!!

Brynicki dzwonił rano. Chciał porozmawiać. Został już przesłuchany wczoraj.

Właściwie niewiele więcej.

powiedział niż wtedy, w mieszkaniu profesora. Był zszokowany tą śmiercią powtarzał wielokrotnie rozmowę telefoniczną z profesorem, wracał ciągle myślą do tej chwili, gdy pochyliwszy się nad bezwładnym ciałem zrozumieli oboje z Zosią że człowiek leżący na podłodze jest już martwy. Powtarzał: gdybyśmy byli wcześniej...

Nie docierało do niego tłumaczenie, że gdy zdecydowali się jechać, profesor nie żył już od wiciu godzin. Lekarz stwierdził, że śmierć nastąpiła w godzinach rannych, między dziewiątą a dziesiątą. A więc niedługo po owej telefonicznej rozmowie.

Z czym przychodzi teraz? Jakies nowe informacje?

—
Proszę — krzyknął głośno, słysząc pukanie do drzwi.

Rąbnęło chłopca — pomyślał, gdy Brynicki stanął w drzwiach.

Asystent miał ściągniętą twarz, podsinione oczy.

Wstał zza biurka, podsunął mu krzesło.

—
Może kawy?

Brynicki rozglądał się niepewnie po pokoju.

—
Jeśli można?

—
Można, można — kapitan rubasznie pogadywał chcąc ośmielić gościa. —

Basiu! Dwie kawy! — dysponował sekretarce. — Jak pan się czuje, panie magistrze? Nietęgo? Rozumiem! Był pan zaprzyjaźniony z profesorem... To niepowetowana strata.

Basia postawiła na biurku dwie szklanki, cukierniczkę.

—
Ile cukru? Łyzeczkę?

Brynicki nie odpowiedział. Wpatrywał się niewidzącymi oczyma w róg pokoju.

Wreszcie jakby coś postanowił.

—
Muszę panu opowiedzieć o jednej wycieczce.

O wycieczce? — kapitan spojrzał na młodego człowieka.

Chyba z nerwami niedobrze — pomyślał. Ale Brynicki kontynuował:

—
Rok temu, w lecie wybraliśmy się z profesorem na Dolny Śląsk. On miał wiele pasji. Jedną z nich były wycieczki. „Posuwamy się tropami historii” — mówił,

zwiedzając jeden po drugim obiekty zachowane z czasów piastowskich. Na Dolnym Śląsku jest wiele takich obiektów.

Pewnego dnia...

Brynicki przerwał, nerwowo zaczął szukać po kieszeniach.

—
Proszę — kapitan podsunął papierośnicę.

—
Siedzieliśmy na stoku góry. Na jej szczycie zachowały się resztki murów obronnych zamku jednego z Piastów Śląskich. A może ja pana nudzę?

—
przerwał nagle.

—
Ależ skąd — uspokoił go kapitan. — To bardzo ciekawe.

—
Tam właściwie nic więcej nie ma. Dookoła pegeerowskie pola... Profesor poprzedniego dnia to sprawdził. Był nawet w dyrekcji tego PGR.

—
Po co?

—
Nie wiem po co, Zostałem w pobliskim miasteczku, miałem napisać listy.

Gdy wrócił z tej samotnej wycieczki, był jakiś dziwny. Myślałem, że się zmęczył.

Ale następnego dnia rano powiedział, że chce jeszcze raz spojrzeć na te mury. No i właśnie, gdy tak siedzieliśmy, powiedział coś bardzo dziwnego.

Brynicki znowu zamilkł na chwilę. Kapitan nic przerywał milczenia.

—
On powiedział, że zobaczył widmo!

—
Co zobaczył? Słucham? — poderwał się kapitan.

—
Powiedział, że zobaczył widmo! I dodał: „Myślałem, że ten człowiek nie żyje”.

—
Jaki człowiek?

—
Nie wiem. Myślałem wtedy, że profesor jest zmęczony... To był stary człowiek, sterany. Nie dopytywałem się... On nie wrócił już nigdy do tego tematu. A ja

nie przywiązywałem większej wagi do jego słów. Nie pamiętałem. Dopiero teraz... Czy to ma jakieś znaczenie?

Nie wiem, czy ma lub czy miało znaczenie... Ale dobrze, że pan mi to opowiedział. Będzie pan spokojniejszy. Może jeszcze kiedyś o tym porozmawiamy. Na razie proszę nikomu o tym nie mówić.

—

Nawet wychowawcy profesora?

—

Nawet jej. Ona w ogóle musi mieć spokój. Ostatnie dni bardzo ją zszarpały.

Uścisnął rękę asystenta.

—

Dziękuję za tę rozmowę.

Gdy Brynicki wyszedł, usiadł znowu przy biurku. Miał

uczucie — wbrew temu, co powiedział asystentowi

— że ta informacja jest bardzo ważna.

Lonia szła rozgrzanymi ulicami. Ciemna sukienka przylepiła się do pleców.

Koniec lata był upalny, słońce grzało jak w lipcu. Była zmęczona.

Trzy ostatnie tygodnie wstrząsnęły jej nerwami. Tragiczna śmierć profesora przysłała niespodziewanie.

Uczucie pustki, które pozostało po tej śmierci, uświadomiło jej, czym był w jej życiu stary człowiek.

Ustabilizowane, spokojne życie skończyło się. Rozumiała, że musi podjąć trud zorganizowania egzystencji swojej i Karatowej, ale to były przelotne myśli, które nie przybierały kształtu realnych planów. Także i teraz, Idąc w upale i duchocie skwarne go dnia. myślała, że trzeba coś zrobić, starać się. ale zaraz te myśli ustępowały innej, dręczącej od pierwszych dni po śmierci profesora.

Sama nie chciała przyznać się przed sobą, że uczucie pustki ma związek także z tym, że Julek nie odezwał

się ani słowem.

Na list pisany z nad morza nie odpowiedział. To było zrozumiałe. Ale przecież wieść o śmierci profesora

musiała do niego dotrzeć. We wszystkich gazetach ukazały się nekrologi, wspomnienia... Całe miasto było przerażone tą śmiercią. Obcy ludzie okazali jej serce i współczucie. On nawet nie zadzwonił.

Brakiem lojalności wobec zmarłego dziadka wydawały jej się te myśli o Julku.

Ale równocześnie nie umiała wytłumaczyć sobie jego milczenia.

Delikatność? Chyba zbyt daleko posunięta.

Zaciął się w urażonej dumie? — rozważała po raz dziesiąty.

Nie, to nie był czas na kulturowanie niechęci. Zresztą to niepodobne do Julka.

—
Więc co?

Kilkakrotnie sięgała po słuchawkę telefonu, chciała sama zadzwonić. Za każdym razem odkładała ją z powrotem na widełki.

Do gorzkich refleksji od pewnego czasu dołączył się niepokój. To zaczęło się od rozmowy z kapitanem, w czasie której pokazał jej spinkę. Poznała ją natychmiast. Nie było chyba drugiej podobnej pary. Ojciec dostał je z okazji imienin od przyjaciół myśliwych. Podarowała je Julkowi w ubiegłym roku. To był noworoczny poda-rek. Wybierali się na sylwestra. Samu mu je wpięła w mankiety, zarazem

likwidując jakieś brzydactwo, które nabył w pośpiechu.

Dobrego gustu to on nigdy nie miał — pomyślała z rozczuleniem o chłopaku, który preferował w swojej garderobie jakieś bardzo kraciaste koszule i wypłowiałe wiatrówki, usprawiedliwiając się powszechną modą.

Czemu nie powiedziała kapitanowi, że poznaje tę spinkę? Sama nic umiała sobie tego wytłumaczyć.

Kapitan co prawda nie mówił, skąd ją ma, ale chyba znalazł ją w ich mieszkaniu.

Kiedy to Julek był ostatni raz na kolacji? — zastanowiła się. — Kilka dni przed jej wyjazdem nad morze.

Ale wtedy miał na sobie którąś ze swoich kraciastych koszul!... Podwinął nawet rękawy, co wywołało potem uwagę profesora:

—
Dziwne upodobania do negliżu ma ten twój adorator.

Starszy pan był zawsze elegancki i nie zdarzało się, by w towarzystwie rozpiął choć jeden guzik marynarki.

Nie! Nie mogła sobie przypomnieć. A spinka zapewne wypadła przy okazji jakiegoś galowego występu Julka w białej koszuli i wizytowym ubraniu.

Jakie znaczenie ma znalezienie tej spinki? — odsuwała od siebie polne niepokoju myśli.

Otwierając kluczem drzwi, z ulgą myślała, że teraz musi zająć się wyłącznie Karolową, która od dnia, w którym dowiedziała się o śmierci profesora, zmieniła się do niepoznania. Dawniej energiczna, zawsze czynna i ożywiona, teraz popadła w jakieś otępienie i apatię.

Pragnąc jej pomóc. Lonia zdobywała się codziennie na wysiłek długich rozmów o niczym, próbowała bezskutecznie zwrócić jej myśl ku zajęciom, które przedtem absorbowwały gospozię zupełnie.

—
To ty, dziecko? — dobiegł ją zza drzwi kuchennych głos po dawnemu raźny.

Weszła i stanęła zdumiona: starsza pani energicznie machała ścierką, wycierając - filiżanki.

—
Wiesz, był tutaj porucznik Łęski. To bardzo sympatyczny chłopak.

Zrobiłam mu herbaty. Nie chciał, mówił, że za gorąco na herbatę. Ci wszyscy młodzi to te oranżady, soki... Katar żołądka gotowy. Ale ostatecz-nie wypił.

Przekonałam go. Tobie też zaraz zrobię.

Lonia przerwała potok wymowy:

—
A po co przyszedł? Chyba nie z kurtuazji.

Otyła dama popatrzyła badawczo na dziewczynę:

—
Nieufna się zrobiłaś, moje dziecko. Właśnie z kurtuazji przyszedł. Zapytać o zdrowie. Jego rodzice są ze wschodu, z Wołynia. Pogadaliśmy sobie.

—
I o nic nie pytał?

—
O nic. Dziwił się tylko, że taka ładna dziewczyna jak ty nie ma narzeczonego. Mówiłam mu właśnie, że tak prawie jakbyś miała, tylko że profesor...

—
Po co Karatowa o tym opowiada? Co kogo mogą obchodzić moje sprawy?

—
A cóż to — wstyd? Wstyd byłby, gdyby nikt nic chciał na ciebie spojrzeć!

— Karolową ze zdumieniem popatrzyła na Lonię. — Aha. żebym nie zapomniała, kazał powtórzyć, że kapitan... jak mu tam...

—
Januskiewicz?

—
Właśnie: Januszkiewicz. Prosił, żebyś zadzwoniła. Numer jest tu. —

Podawała Loni kartkę wydartą z notesu. — Napijesz się herbaty?

—
Napiję!

Lonia trzymając kartkę przeszła do gabinetu. Najlepiej zaraz zadzwonić.

W słuchawce rozległ się głos kapitana:

—
Czy była pani uprzejma sprawdzić?

—
Sprawdziłam. Przeszukałyśmy z Karatową wszystkie półki, dokładnie przewertowałyśmy teczki.
Nie ma.

—
Szkoda, ogromna szkoda...

—
To jest takie ważne?

—
Dla nas wszystko jest ważne — kapitan zaakcentował słowo: ważne.

Znowu przypomniała się jej ta nieszczęsna spinka.

A może mu powiedzieć? Nie! Nie powie. Ta informacja nie może mieć znaczenia

— upewniała sama siebie wbrew nurtującym ją wątpliwościom.

—
W czym mogę jeszcze pomóc?

—
Chciałbym zadać pani jeszcze kilka pytań. Pojutrze proszę się zgłosić do Komendy. Tak! Rano!

Odłożył słuchawkę.

On mi nie uwierzył — pomyślała. — Ta rozmowa może być trudna.

Porucznik Łęski wyszedł spocony na podwórze. Pani Karolową traktowała go już niemal jak przyjaciela domu. Konsekwencją tego była konieczność picia herbaty przy każdej okazji, gdy tylko się pojawił.

Dzisiaj po raz drugi przesłuchiwał wszystkich sąsiadów zmarłego profesora.

Teraz już wiedzieli, o co chodzi. Starali się przypomnieć sobie cokolwiek z wydarzeń dnia, w którym zginął profesor.

Relacjonowali naj-drobniejsze czynności. Ale nikt nic nie słyszał, nikt nic nie widział.

Pani Karolewa, która zobowiązała porucznika do wstępowania przy każdej służbowej okazji, opowiadała mu dzisiaj partyzanckie dzieje profesora. Ale to była przeszłość. Nic z niej nic wynikało dla terażniejszości.

Porucznik przysiadł na podwórkowej ławce, zapalił papierosa... Z przyjemnością patrzył na kilku chłopaków, kopiących niezmordowanie piłkę.

Mają kondycję smarkacze — myślał. — W taki upał im się chce...

W zaimprovizowanej bramce, zaznaczonej dwoma kołkami i sznurkiem, mały blondas rozpostarł szeroko ręce.

Strzelaj! Strzelaj! — darł się wniebogłosy inny do brunecika, który z pasją prowadził piłkę, zgrabnie ją przerzucając z nog4 na nogę.

Jest, jest! — chóralny wrzask ogłuszył na chwilę porucznika, gdy mimo bohaterskiej obrony blondasa piłka dotknęła sznurka.

Głowa mi pęknie! — odezwał się do zemocjonowanych chłopaków. —

Piłkarze z prawdziwego zdarzenia tak nie wrzeszczą.

Skąd pan wie? — czupurny brunecik już był przy nim. — Widział pan kiedy Lubańskiego?

Widziałem!

Chłopaki zbiegli się przy ławce.

Proszę opowiedzieć, jaki on jest. Opowiadał im o Lubańskim, o kilku znakomitych meczach. Oczy im błyszczały.

Pan to jest ten porucznik, co tu po śmierci profesora — zaczął blondynek i nie dokończył. Posmutniał...

A skąd wiesz?

My tu stale gramy w piłkę. Widzieliśmy pana. Czy pan już wie, kto zabił profesora?

Jeszcze nie wiem. Ale bądźcie spokojni. Będę wiedział. — Spojrzał na chłopaków: — Lubiliście profesora?

—

Pan profesor czasami z nami rozmawiał. On był bardzo mądry.

—

I zawsze przynosił nam cukierki. Nawet Jacek — blondas pokazał na brunecika — dziwił się wtedy, że profesor jeszcze nie wyszedł z domu. Bo on nam te cukierki zawsze dawał wtedy, gdy szedł do pracy... A on już nie żył.

—

Pamiętacie ten dzień?

—

Oczywiście! — Teraz odezwał się brunecik. — To było wtedy, gdy pan Julek wyleciał z klatki taki nieprzytomny, że nas potrącił.

—

Jaki pan Julek?

—

No, ten od panny Loni.

—

To było w dzień śmierci profesora? Dokładnie pamiętasz?

—

Pani nauczycielka zawsze mówi, że Jacek ma znakomitą pamięć — popierał kolegę blondas. — I refleks

—

dodał poważnie.

—

Więc mówisz, że tego dnia...

—

Tak. to było zaraz po tym, jak ten facet odjechał Skodą. Pamiętasz, Marek?

—

O czym wy mówicie, chłopcy? — zainteresował się porucznik.

—

To było tak — Jacek zdecydował się na dłuższe przemówienie. —

Kopaliśmy piłkę. Tu z podwórka dobrze widać cały dom. I taki jeden facet wchodził do klatki schodowej. Potem widziałem, jak wychodził.

—

I co dalej? — porucznik starał się pytać spokojnie.

—

Miał zaparkowany wóz za żywopłotem. Wsiadł i ruszył jak wariat. A potem to już — jak mówiłem

—

pan Julek gnał na złamanie karku.

—

Za tym facetem?

—

Nie! To było... — zastanowił się: — może za pół godziny.

Brunecik zamilkł na chwilę,- ale widać nurtowała go jakaś myśl. bo zaczął

znowu:

—

On powinien zapłacić mandat, prawda?

—

Mandat? Pan Julek?

—

Nie. Ten od tej Skody. Mówiliśmy z Markiem, że...

Porucznik Leski przerwał małemu.

—

Ta Skoda była zaparkowana za żywopłotem?

Brunecik popatrzył z dezaprobatą na porucznika:

—

Mówiłem już... Facet pewnie stale tak jeździ. Już się gdzieś stuknął. Prawy przedni błotnik miał uszkodzony, taki wygięty... i lakier zdarty.

—

Pani nauczycielka chyba ma rację — powiedział porucznik do brunecika, kładąc mu rękę na zwichrzoną czuprynę. — Nic nie umknie twojej uwagi.

—

Marek też pamięta — mały ujął się za kolegą.

—

No to pięknie, chłopcy! Pogadamy sobie jeszcze kiedyś o różnych sprawach. Teraz się spieszę. I nie róbcie takich wrzasków! Słuchać was do piątego piętra.

—

Nie będziemy— przyrzekali solennie.

Ale zanim minął narożnik, usłyszał:

—

Strzelaj! Strzelaj!

Na podwórku zaczynała się kolejna tura piłkarskich zmaganiań.

Kapitan Januszkiewicz rozmawiał z bibliotekarzem Wojskowego Instytutu Historycznego. Życzliwy męski głos zapewniał:

—

W każdej chwili! Mamy sporo materiałów dotyczących tego okresu.

—

Nie! Nie są jeszcze opracowane. Ale udostępniemy... Przeważnie rękopisy... Dziennik działań... Tak! Materiały wspomnieniowe też.

—

Co ty, stary, w historyka się bawisz? — zapytał porucznik Łęski, gdy kapitan odłożył słuchawkę.

—

Czasem trzeba! — mruknął indagowany, nie wdając się w dłuższe tłumaczenie.

—

Ten Łabęcki jest?

—

Jest. Czeka. Pozwolisz, że zostanę w pokoju?

Łęski, mimo iż starał się nie okazywać tego po sobie, był ze mocjo nowa ny. Jeśli informacja chłopaków była prawdziwa, może się okazać, że nareszcie uchwycili jakąś nić.

—
Zostań! — Kapitan podszedł do drzwi, otworzył je szeroko.

Julian Łabęcki poderwał się szybko z krzeselka, ale po przekroczeniu progu pokoju energia opuściła go natychmiast.

Kapitan nie bawił się we wstępy.

—
Co pan robił w domu profesora, w dniu, w którym profesor zginął? Datę pan zna, bo podana została w całej prasie.

Łabęcki przybladł, drobniutkie kropelki potu wystąpiły mu na czoło.

—
Nie byłem w domu profesora w tym dniu, o którym pan mówi. Ostatni raz widziałem profesora na kilka dni przed wyjazdem jego wychowanicy nad morze.

Zaproszono mnie na kolację.

—
Co pana łączyło z wychowanicą profesora?

—
To są moje osobiste sprawy i nie sędzę, żeby...

—
Nie interesuje mnie, co pan sądzi. Interesuje mnie natomiast... — kapitan wyjmował z szuflady zwiniętą chusteczkę.

—
Co to jest?

Łabęcki wpatrzył się w spinkę. W jego oczach odbiło się przerażenie. Ręką otarł spocone czoło.

—
To jest spinka.

—
Oczywiście! Ale mnie chodzi o to, czy pan widział kiedykolwiek te spinke i u koço.

—
To jest moja spinka — padła cicha odpowiedź.

—
Gdzie jest druga?

—
Chyba w domu. Nic pamiętam...

—
Kiedy ostatni raz nosił pan te spinki?

Pytanie padało jedno po drugim. Kapitan nie podnosił głosu. Zadawał je spokojnie, tak jakby odpowiedź

była mu już znana i nie budziła większego zainteresowania.

—
Nie pamięta pan? Przecież to cenna rzecz. Piękna robota...

—
Nie przywiązuję większej wagi do takich drobiazgów. Nawet nie zwróciłem uwagi, że jedną zgubiłem, nie wiem kiedy ani gdzie.

Kapitan wyprostował się za biurkiem.

—
Może będę mógł panu pomóc. Spinka została znaleziona w mieszkaniu profesora, leżała pod taboretą w przedpokoju.

—
Bywałem tam, nie zaprzeczam... Mogła się odpiąć, nie zauważyłem...

Porucznik Łęski, siedzący z boku i nieco w tyle za Łabęckim, gestem wskazywał na drzwi.

Kapitan podniósł się zza biurka.

—
Proszę starać się przypomnieć sobie, kiedy mniej więcej nosił pan te spinki — zwrócił się do Łabęckiego. I dodał: — Zaraz wrócę.

Przeszedł za Łęskim do sekretariatu.

—
Czego znowu chcesz, domorosły Sherlocku Holmesie? — ironicznie spoglądał na Łęskiego.

—
Słuchaj, Witek! Jestem przekonany, że on tam był.

—
Przekonanie możesz mieć, ale to nie wystarczy. Trzeba mieć dowody.

—
Właśnie! Nakaz rewizji w mieszkaniu tego Łabęckiego i...

Kapitan zastanowił się.

—
Dobra! Pomyślmy!

Gdy wrócił do pokoju, Łabęcki siedział wpatrując się w spinkę.

—
Przypomniał pan sobie?

—
Ja... ja nie wiem, po co panu ta informacja. Nie mogę sobie przypomnieć.

—
Pan był dobrze widziany przez profesora? — kapitan przeszedł na inny temat.

—
Nie wiem. Zapraszała mnie panna Leokadia.

—
Gospodyni profesora twierdzi, że łączył pana związek uczuciowy z jego wychowanicą. Czy profesor apróbował to uczucie?

—
Już mówiłem, że to są moje osobiste...

—
Mówił pan. Ale tu chodzi o zabójstwo człowieka. I pana obowiązkiem obywatelskim jest nie utrudniać, ale pomagać.

—
Co ja mogę pomóc?

—
Proszę odpowiedzieć na pytanie.

—
Profesor nie aprobował. Pod jego naciskiem panna Leokadia zerwała ze mną. Po jej wyjeździe nad morze dostałem list.

—
Ostatni raz widział pan profesora przed jej wyjazdem.

—
Tak!

—
Nie czuł pan niechęci do profesora?

—
Tak! Czuję! Czuję! O to panu chodzi? — Łabęcki poderwał się gwałtownie z krzesła, krzyząc: Ja nie zabiłem profesora! Ja nie mam z tym nic wspólnego!

—
Nikt panu nie stawia takiego zarzutu — kapitan wyciągnął papierośnicę.

— Niech pan zapali. I trzeba panować nad nerwami.

Łabęcki wziął papierosa, ugniatał go trzęsącymi się rękoma.

—
Więc nie ma pan zamiaru mnie aresztować?

—
Nie mam takiego zamiaru — odpowiedział spokojnie kapitan.

I równocześnie pomyślał: On był w tym mieszkaniu już po wyjeździe wychowawcy profesora. Ślad toczącej się pod taboret spinki był świeży. Kurz nie zdołał go pokryć.

Uczynne ręce zgromadziły na stoliku kapitana stos książek i starannie powiązanych teczek. Mijały godziny, a on czytał nie odrywając się od stolika nawet na papierosa. W czytelni dawno już zapalono światła, ktoś nacisnął

kontakt także przy jego stolikowej lampie. Nie zwrócił na to uwagi, tak jak nie zauważał, że ludzie wcho-dzili i wychodzili zmieniając się przy stolikach. Z

godziny na godzinę utrzymywało się w nim przekonanie, że jest na dobrej drodze.

Jurek Leski przywiązywał dużą wagę do faktu przyznania się Łabęckiego, że to jego spinkę znaleziono w mieszkaniu profesora. Oczywiście nie można było tego lekceważyć. Tym bardziej, że Łabęcki usilnie podtrzy-mywał twierdzenie, iż widział profesora ostatni raz wiele dni przed jego Śmiercią. Łabęcki był co prawda wy-straszony, ale... przecież nie można wykluczyć go z kreau ludzi, którzy moaliby

mieć coś wspólnego z morderstwem profesora. Ta myśl uspokajała kapitana i wracał znowu do rozłożonych na stoliku książek.

Gruby zeszyt pęczniał od notatek. Studiował już parę dni historię walk partyzanckich. Szukał przyczynków do działań oddziału partyzanckiego, w którym walczył profesor. To była szansa uzupełnienia luk w dzienniku zmarłego profesora.

Wierzył Loni. Do spuścizny po profesorze odnosiła się z pietyzmem. Tej pozornie bardzo spokojnej i opanowanej dziewczynie trzęsły się ręce, gdy dotykała stron zapisanych przez starego pana. Nie wiedziała, dlaczego kapitanowi tak bardzo chodzi o te brakujące kartki. Ale sama chciała je odnaleźć. Nie dowierzając sobie i Karolo we j, jeszcze raz wspólnie z nim i Łęskim przeszukała cały gabinet dziadka i bibliotekę. Brakujących kartek dziennika nie znaleźli.

Czyżby sprawca morderstwa zabrał te kartki ze sobą? Dlaczego zależało mu na nich? Co profesor napisał?

Jakie informacje zawierały?

Kapitan jeszcze raz weryfikował swoje zapiski. Luka w dzienniku profesora dotyczyła dwóch tygodni. Wynikało to z dat, którymi profesor oznaczał każdy zapis. Oczywiście mógł w jakimś okresie niczego nie notować.

To byłoby nawet prawdopodobne, zważywszy, w jakich warunkach pisał. Ale przeczyła temu numeracja stronic. Brakowało kartek od str. 66 do 84 włącznie.

Profesor zaś — jak mówiła To-nin — był skrupulatny, a stro-nice specjalnie ponumerował chronologicznie. Nie mógł się w numeracji pomylić.

Zresztą treść zapisów również była wymowna. Na stronie 65 zapis brzmiał:

..Odchodzimy głębiej w lasy..."

Następne w kolejności notatki odnosiły się już do zdarzeń z nowego miejsca postoju oddziału. Przebijał z nich tragizm przeżyć profesora. Wspominał w nich imiona i nuzwiska ludzi, których — jak wynikało z kontekstu —

nie było już wśród żywych.

Co zdarzyło się w okresie tych dwóch tygodni? — zadawał sobie pytanie kapitan.

— Czy oddział profesora brał udział w jakichś walkach?

..Tego nigdy nie potrafię zapomnieć" — przypominał poszczególne zdania z dziennika starego pedagoga.

Sięgnął po kolejną teczkę, rozwiązał ją. Było w niej parę maszynopisów i plik kartek zapisanych

ręcznie.

Rzuciwszy okiem na pierwszą stronę stwierdził, że zawiera ona wspomnienia jednego z partyzantów oddziału, w którym walczył profesor. Czytał ze wzrastającym podnieceniem. Ten człowiek opisywał

przeprawę przez rzekę. Oddział wycofywał się w porządku, mimo że oddziały niemieckie naciskały, coraz bardziej zacieśniając jego pole działania. Wycofywał się, zbierając zarazem siły, by wrócić w chwili, w której Niemcy będą się tego najmniej spodziewać.

Kapitanowi pot zrosił czoło. To chyba o to chodziło! Jak to profesor napisał? Ze gdy oddział odejdzie, ludność cywilna pozostanie bezbronna wobec band...

Człowiek z oddziału profesora niemal w tych samych słowach dawał wyraz niepokoju, drażącemu serca partyzantów.

„I stało się! — czytał kapitan. — W kilka dni później banda okrążyła miasteczko.

Spokojnych mieszkańców, kobiety i dzieci, sprowadzono do jednego z największych budynków. Informowano, że odbędzie się zebranie. Potem bandyci podpalili budynek”.

Na dole strony widniała adnotacja: „Autor wspomnień zmarł, dnia. roku...

Rodzina autora przekazała tekst celem wykorzystania do ewentualnego opracowania historii oddziału”.

Kapitan siedział wsparty o stół. Teraz już wiedział, był przekonany: w dzienniku profesora zabrakło tych stron, które zawierały opis napadu bandy. Jeszcze nie wiedział, dlaczego zostały ukradzione, ale niewątpliwie znajdzie odpowiedź na to pytanie.

Zawiązał z powrotem teczkę. Zamknął swój zeszyt pełen notatek. W obolałym mózgu tłukła się jedna myśl: trochę powietrza!

Długo później wieczór, gdy dotarł do swojego mieszkania, które zajmował wraz z siostrą. Zdała w tym roku na uniwersytet i wprowadziła się do niego.

—
Nie znoszę obcych ludzi — tłumaczyła, gdy proponował Dom Akademicki, przerażony trochę perspektywą zakłócenia jego kawalerskiej samotności i spokoju. Ale teraz był zadowolony, że nie wraca do pustego domu.

—
Telefony były? — spytał zaraz od progu.

—
Dzwonił ten twój Leski — odkrzyknęła z pokoju. — Ze też on nie może obejść się bez ciebie...

—
Czego chciał?

—
Nie uważał za stosowne mnie poinformować. Ale bądź spokojny.

Zadzwoń jeszcze raz ten Sherlock Holmes — odparła złośliwie. — Kolację będziesz jadł?

Pytanie było wyłącznie retoryczne, bo już po chwili pojawiła się z tacą pełną kanapek, Widocznie czekała na niego.

—
Herbata zaraz będzie — oznajmiła.

Siedzieli przy stole, gdy odezwał się telefon. Dzwonił Jurek Łęski. Rozmawiał dzisiaj z różnymi znajomy-mi

profesora. Ich informacje nie wnosiły jednak nic nowego do sprawy.

—
Zawiadomiłeś pannę Sałakowską że chcę z nią jutro rozmawiać?

—
Zawiadomiłem. — W głosie porucznika Łęskiego czuło się rozbawienie. —
Pani Karatowa cię skłęła.

Nie podobają się jej twoje częste konferencje z panną Leokadią. Kładła nawet kabałę. Wynikało z tego, że w życiu panny Leokadii nastąpi poważna zmiana przez mężczyznę bruneta. Ja jestem blondyn. Znaczy, kabała dotyczy ciebie.

—
Tyś zupełnie zwariował! Zamiast zajmować się poważnymi sprawami...

—
Nie denerwuj się, szefie! Wszystko dla dobra służby. Musiałem nie tylko kabały wysłuchać, ale i pięć szklanek herbaty wypić. Za to pani Karatowa nie ma już przede mną tajemnic.

—
I co z tego wynika?

—
Na razie jeszcze niewiele. Ale nigdy nie wiadomo. Opowiadała mi dzisiaj znowu o dziejach partyzanckich profesora. W jego oddziale walczyli jego przedwojenni uczniowie. Kilku ocalało. Rozproszyli się po wojnie po Polsce, ale pamiętali o profesorze. Pojawiali się od czasu do czasu u niego, aby wspominać...

—
Adresy tych uczniów?

—
Zapisałem! — W głosie porucznika zabrzmiał cień urazy. — Za kogo mnie uważasz?

—
Dobra, dobra! Nie obrażaj się. Te adresy mogą się przydać. A teraz idź do domu, wypoć tę herbatę. I jutro rano do roboty.

—
Rozkaz!

Kapitan odłożył słuchawkę. Myślał o jutrzejszej rozmowie z Lonią.

Dziewczyna od chwili, gdy zobaczyła spinkę, stała się jakaś nieufna. W ogóle była chyba małomówna.

Ożywiała się tylko, gdy rozmawiali o dziadku. Wtedy mówiła więcej i jakby bardziej spontanicznie.

—
Zna pani dobrze te zdjęcia? — kapitan rozłożył na biurku fotografie zabezpieczone w mieszkaniu profesora.

Dziewczyna pochyliła się uważnie nad nimi, wpatrując się w każde z nich kolejno.

—
Znam. Oglądałam je wiele razy. To były najdroższe pamiątki dziadka.

Uchowały się, bo zakopał je w ziemi, w metalowej puszcze po masce przeciwgazowej. Na każdym z nich jest, jak pan widzi, data. To przedwojenne zdjęcia.

Objasniała każdą fotografię z osobna, opowiadając, w jakich okolicznościach była robiona. Wymieniała nawet nazwiska niektórych osób. Zapamiętała je z rozmów z dziadkiem, gdy posługując się zdjęciami, opowiadał jej o swojej pracy w prowincjonalnym gimnazjum.

—
Tu brak jednego. — Spojrzała jeszcze raz na biurko. — Z 1938 r. Gdzie je pan ma?

—
Chwileczkę... zaraz... — Kapitan przesunął oczyma po rozłożonych fotografiach. — O jakie zdjęcie pani chodzi? Tu są wszystkie, które zabraliśmy z gabinetu profesora. Nie było ich więcej.

—
To z moim tatusiem. — Dziewczyna zaczęła się denerwować. — Tatuś chodził przed wojną do gimnazjum, w którym uczył dziadek. Zdjęcie było z wycieczki — wyjaśniała gorączkowo. — Ja nie miałam żadnej przedwojennej fotografii tatusia. Dziadek trzymał to zdjęcie wraz z innymi. Mówił, że mu jeszcze jest potrzebne, ale obiecał, że mi je kiedyś da...

—
Jest pani pewna, że było ono do chwili śmierci profesora?

—
Oczywiście! Gdy porządkował te swoje notatki, segregował także zdjęcia.

To, o którym mówię, położył na wierzchu. Widziałam... jestem pewna. Gdzie mogło się podziać?

—
Zdaje się, że wiem...

—
_?

—
Na razie trudno mi o tym z panią mówić. Przyjdzie czas, że wszystko wyjaśnimy. To bardzo ważne, co mi pani powiedziała.

—
Lonia patrzyła na kapitana. Wyraźnie czytał w jej oczach, że nie rozumie, o co chodzi. Ale nic zadawała więcej pytań. Spokojnie jak zawsze, z właściwą jej godnością, skinęła głową na pożegnanie.

Zaledwie zamknęła drzwi za sobą, zadzwonił do Łęskiego.

—
Zaraz wyruszysz w objazd „pasterski”.

—
Dokąd?

—
Wpadnij tu do mnie. Wszystko wyjaśnię.

Wyraźnie zaintrygowany Łęski zameldował się natychmiast.

—
Dawaj te adresy! No, tych uczniów profesora, o których mówiła Karatowa.

Co się gapisz? Nie rozumiesz?

Po czym kapitan przedstawił przyjacielowi pokrótce swoją hipotezę.

—
Pytać także o zdjęcia z ich czasów gimnazjalnych? — dopytywał się Łęski.

—
Oczywiście! Takich zdjęć musiało być przynajmniej tyle, ilu uczniów brało udział w tej wycieczce. Może któryś z nich zdołał je zachować? Musimy je mieć.

To może być klucz do rozwiązania tej zagadki.

—
Czy ty nie przesadzasz, Witek? — Porucznik sceptycznie oceniał sytuację.

— Czego się spodziewasz, nawet jeśli odnajdziemy to zdjęcie?

—
Trudno mi powiedzieć. Ale oceń sam: zdjęcie zniknęło wraz z kilkoma kartkami dziennika profesora.

Niewątpliwie jest dla mnie, że na tych brakujących kartkach był jakiś zapis, dotyczący napadu bandy na to miasteczko i bestialskiego spalenia ludzi —

referował.

—
Ale co wspólnego ma z tym zdjęcie? Przecież sam mówiłeś, że pochodzi z 1938 r.

—
Nic rozumiesz? Przecież, być może, na tym zdjęciu figuruje ktoś, kto wolałby, aby go nie rozpoznano.

—
Ktoś, kto w czasie okupacji należał do bandy?

—
Oczywiście! Porucznik Łęski tarł czoło.

—
To istotnie ciekawe. Czekał: to znaczy, że profesora mógł zamordować człowiek obawiający się, że ten go zdemaskuje. Dlaczego jednak czekał tyle lat?

Przecież od czasu wojny...

—
Brynicki mówił mi — wyjaśniał dalej kapitan — że profesor powiedział w ubiegłym roku, będąc z nim na Dolnym Śląsku: „zobaczyłem widmo”.

—
I nic mi o tym nie powiedziałaś? — Łęski był wyraźnie rozzalony.

—
Nie mówiłem, bo sam na razie błędziłem w chaosie tych wszystkich informacji. Zresztą ty byłaś przejęty hipotezą, która nasuwała się w związku z Łabęckim.

—
Właśnie, co z Łabęckim? — Porucznikowi mijała już chwilowa uraza.

—
Zaprosiłem go tutaj na dwunastą. O, pewnie już czeka. To oczywiście musi być wyjaśnione. A ty, Jurek, ruszaj! I nie przepadaj. Dzwoni!

To ostatnie zdanie dodał już z rozpędu, bo przecież wiadomo było, że Jurek będzie sygnalizował ważniejsze informacje.

—
Jeśli Łabęcki czeka, powiedz mu, że może wejść

—
rzucił jeszcze za porucznikiem zamykającym już drzwi.

Łabęcki rzeczywiście czekał na korytarzu. Siedział na ławce przygarbiony i skulony. Przysunął tuż do siebie korytarzową popielniczkę. Łęski, mijając go i informując, że już może wejść do kapitana, rzucił okiem na tę popielniczkę.

Piętrzył się w niej stos niedopałków.

Facet zatrucia nikotyną dostanie przy takim tempie

—
pomyślał, skądinąd nie bez satysfakcji uświadamiając sobie, że Łabęcki ma potężnego stracha. Obejrzał się jeszcze za nim. Młody człowiek niepewnie naciskał

klamkę drzwi do sekretariatu. Równie niepewnie — czego już porucznik nie widział — przekraczał próg gabinetu kapitana. W głowie kotłowały mu się myśli.

Czuł, że dłużej nie potrafi ukrywać faktu swojej obecności w mieszkaniu profesora w ów tragiczny dzień. Chwilami sam sobą się brzydził, że nie może opanować strachu.

Męczyły go pytania matki, która widząc, że nie śpi, nie je i całymi dniami leży na tapczanie, usiłowała wydobyć z niego przyczynę tego stanu. Napomykała też chwilami o osieroconej Loni. Dawała do zrozumienia, że właśnie teraz, w nieszczęściu powinien być przy dziewczynie.

Nie! To wszystko było nie do wytrzymania. Musi zdobyć się na odwagę. Siedząc w korytarzu, wszystko jeszcze raz przemyślał. Może uwierzą, że nie miał nic wspólnego z zamachem na profesora? Ten kapitan wydawał mu się człowiekiem rozumnym, niejedno rozumiejącym. Ostatecznie wiedzieli przecież o tej spince. I jak dotąd — nie wyciągali z tego żadnych konsekwencji. Łabęcki podniósł głowę, spojrzął przed siebie i napotkał uważny wzrok kapitana patrzącego nań zza biurka.

—
Niech pan siada, panie Łabęcki — zabrzmiał spokojny głos.

—
Ja właśnie...

—
Pogadamy trochę...

Kapitan, wydawało się, nie spieszył się, nic byt zbyt zainteresowany tym, co za chwilę miał powiedzieć Łabęcki.

Istotnie. Łabęcki prawidłowo wyczuwał sytuację. Kapitan patrzył na niego, oceniając mizerność jego sylwetki.

Herkules to on raczej nie jest — myślał. — Wąskie ramiona, zapadnięta klatka piersiowa... Chude to, szare, niepozorne... Gdzie on się taki uchowal? Dzisiejsza młodzież jest pięknie wyrosnięta, krzepka; przyjemnie patrzeć na ich smukłe, długie sylwetki. Co ta dziewczyna w nim widzi? — zastanowił się, pomyślawszy o Loni.

Ale natychmiast odepchnął tę myśl, zwracając się do Łabęckiego:

—
Zdecydował się pan wreszcie powiedzieć prawdę?

—
Wszystko powiem... — zaczął Łabęcki.

Kapitan w milczeniu podsunął mu papierosy, popielniczkę. Potem nie przerywając ani słowem słuchał długiej opowieści, z początku chaotycznej, później, w miarę jak Łabęcki się uspokajał, coraz bardziej uporządko-wanej i...

przekonywającej.

—
I po cóż pan to ukrywał? — odezwał się wreszcie, gdy młody człowiek, westchnąwszy z ulgą, zamilkł.

—
Bałem się — spuszczać głowę wyznał cicho Łabęcki.

—
No, lepiej późno niż nigdy, młody człowieku. Chociaż gdyby pan miał nerwy głębiej pod skórą, oszczędziłby nam pan trochę pracy. Nie będziemy jednak już do tego wracać — zapewnił widząc, że Łabęckiemu znowu zaczynają drżeć wargi.

—
Czy ja teraz w coś mogę?... — Łabęcki widocznie chciał się rehabilitować.

—
Może pan!

Kapitan namyślał się przez chwilę. Z zeznań Łabęckiego wynikało, że był w mieszkaniu profesora punktu-alnie o dziewiątej. Profesor był już martwy. A chłopaczki, które widziały go, wybiegającego z drzwi klatki schodowej... swoją drogą kapitalne bachory! Otóż... Tak! Oczywiście! Między wyjściem mordercy z mieszkania profesora a przybyciem Łabęckiego minęło bardzo niewiele czasu.

Kapitan zwrócił się do Łabęckiego:

—
Czy pan pamięta, co się działo na podwórzu, gdy pan szedł do profesora?

—
Tum się bawiły dzieciaki i... ale to chyba nie jest ważne...

—
Wszystko jest ważne. Więc co z tymi dziećmi?

—
Dwóch chłopaczków opowiadało sobie o kimś, kto... „docisnął gaz do dechy". Tak! Dokładnie sobie przypominam, tak mówili...

—
Widział pan jakiś samochód w okolicy domu, w którym mieszkał profesor?

—
Nie widziałem. Tylko gdy skręcałem w taką wąską uliczkę... Pan wie, kapitanie, ona się ciągnie wzdłuż podwórka...

—
Wiem, wiem — kapitan już teraz się niecierpliwił.

Więc gdy skręcałem w tę wąską uliczkę, minął mnie jakiś samochód.

Bardzo szybko jechał. To była szara Skoda.

Kapitan uśmiechnął się do młodego człowieka i jakby mimo woli powiedział:

—

No, widzi pan, panie Łabęcki... A potem zapytał jeszcze:

—

Do panny Sałakowskiej pan nie dzwonił?

Łabęcki spuścił głowę i nie odpowiedział.

Niech szlag trafi Karolową z jej rewelacjami, które potem przekazuje mi Jurek —

rozzłościł się naraz w duchu. — Po cholere pytam o to Łabęckiego? To jego sprawy — pomyślał i

natychmiast zwrócił się do młodego człowieka tonem najzupełniej oficjalnym:

—

To oczywiście nie ma nic wspólnego ze sprawą.

Łabęcki pokiwał głową. Wstał, powiedział do widzenia i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Wieś spała. Cisza panowała zupełna. Tylko w budynku administracyjnym PGR-u. w jednym z okien, mi-gało wątłe światło.

—
Ten idiota znowu wysiaduje po nocach. Sprawdza rachunki! — mruknął do siebie mężczyzna wyglądający z okna małego gospodarczego budynku. W pokoju panowały ciemności. Mężczyzna poruszał się w tych ciemnościach swobodnie. Przeszedł parę kroków, namacał łóżko, ściągnął z niego gruby koc i wrócił do okna.

Zamknął je, potem szczelnie zasłonił kocem, trafiając pewną ręką do gwoździków, wbitych widocznie wcześniej do ram. Dopiero potem zapalił

światło. Podeszedł do szafy, pogrzebał wśród rzeczy i wyciągnął szarą, już trochę zmiętą kopertę. Teraz przysunął sobie krzesło do stołu, otworzył kopertę. Wypadło z niej parę kartek kratkowanego, pożółkłego papieru zapisanego atramentowym ołówkiem i jedno zdjęcie.

Mężczyzna pochylił się nad kartkami, czytał je poruszając ustami, potem wpatrzył się w zdjęcie. Mściwy uśmiech przebiegł mu po wargach.

Nie zdążyłeś, draniu! W urną porę przyszedłem. I już nikomu nic nie powiesz! A mogłem się spóźnić —

pomyślał nagle i wstrząsnął nim dreszcz.

Od lat żył w napięciu. Bał się własnego cienia. Zmieniał miejsca pracy, zmieniał miejsca pobytu. Zaszywał

się w małych wioskach, oddalonych od większych miast. Ale nie czuł się bezpieczny. Przed paru laty spotkał

pewnego człowieka. Wzrok tamtego utkwiał na chwilę w jego twarzy. Już, już myślał, że poznaje... Ale potem ten człowiek odwrócił spokojnie oczy. Mimo to natychmiast zmienił pracę. Wyjechał w drugi koniec Polski, Potem trochę się uspokoił. Aż do ubiegłego roku. I właśnie kiedy już sam siebie prawie przekonał, że czas zaciera ludzkie rysy, przytłumia pamięć, spotkał jego. Profesora.

Starv człowiek, wedruia cv droaa, utkwiał w nim

spojrzenie szarych, dużych oczu. Zrozumiał wtedy: tamten poznaje! Za chwilę może być za późno. Odwróci! głowę mijając go i starając się Iść spokojnie.

Dopiero gdy zatarła się na drodze sylwetka profesora, pognał przed siebie.

Od ludzi z administracji dowiedział się potem, że był tu starszy pan interesujący się ruinami zamku. Chciał

podobno widzieć się z dyrektorem, ale przy okazji wypytywał się o ludzi. Ilu ich tu pracuje, od jak dawna?

Węszył drań — mężczyzna ze wściekłością myślał o tamtym. —Ale nic nie wywęszyli A teraz już więcej nic będzie. Ta myśl dawałaby poczucie bezpieczeństwa, gdyby nie pech, który towarzyszy mu całe życie...

Przebiegał myślą lata, które minęły. Najpierw czas okupacji. To był dla niego dobry okres. Praca pomocni-ka buchaltera w tartaku, przed wojną, nie dawała mu satysfakcji. Niewiele co prawda umiał, ale wydawało mu się, że gdyby tylko miał możliwości... Niemcy zaraz po wkroczeniu szukali takich jak on, usłużnych.

Z mściwą radością oddał się na ich usługi. Denuncjował ludzi, którzy coś znaczyli, donosił, był niezastąpiony. Pamiętał z tamtych czasów pogardliwy wzrok profesora.

„Poczekaj ty! — zaciął się w sobie. Przyjdzie i na ciebie czas!” Czekał, aby zebrać dowody przeciwko profesorowi. Niemcom niewiele było trzeba, ale chodziło przecież nie tylko o samego profesora. Na pewno należał do jakiejś organizacji. Liczył na to, że sam wyłowi tych ludzi, oczywiście z profesorem na czele.

Przeliczył się. Pewnego dnia profesor znikł z miasteczka. Nie tylko on. Także wielu innych mężczyzn, a wśród nich młodzi uczniowie profesora. A potem zdarzyła się ta historia. Oddział partyzancki zaatakował niemieckie posterunki w miasteczku, podpalił magazyny z kontyngentowym zbożem ściągniętym przez Niemców z pobliskich wiosek. Gdy umilkła strzelanina, wybiegł, przerażony jeszcze, na drogę.

I wtedy padł spóźniony strzał. Pocisk przebił mu mięśnie obu łydek. Od tej pory zawsze, gdy zbliża się zmiana pogody, czuje rwanie w nogach. Ot i teraz. Chyba zbiera się na deszcz? Przesunął ręką po bliznach, wyraźnie wyczuwalnych.

Zrewanżował się za ten strzał. Niemcy opuścili miasteczko, formując akcję na oddziały partyzanckie. Skon-taktował się z bandą. Miał tam kuma. Gdy banda podchodziła pod miasteczko, uspokajał zaniepokojonych ludzi. Tłumaczył, że nie mają się czego obawiać. Zachęcał, by udali się na zebranie do wybranego budynku. A potem patrzył, jak ten dom płonął! Słuchał straszliwych krzyków.

Przez pewien czas myślał, że nikt się nie uratował.

Potem dotarła do niego wiadomość, że ocalał jeden człowiek. Zawiadowca miejscowej stacji. Wtedy opuścił miasteczko.

Wycofywał się razem z Niemcami. Myślał, że zdąży. Ofensywa radziecka szła jednak błyskawicznie. Został na Dolnym Śląsku. Niejednokrotnie chciał przedostać się na Zachód. Nie było możliwości.

Popatrzył znowu na zdjęcie, przebierał palcami kartki. Stary napisał wszystko o nim. Więc jednak zawiadowca się uratował. Dotarł do oddziału partyzanckiego, opowiedział...

Mężczyzna uniósł się z krzesła. Wyprostował przygarbione plecy. Cicho stąpając, kroczył od drzwi do stołu i znowu od stołu do drzwi. Podszedł wreszcie do kaflowego pieca. Leżały przy nim przygotowane — mimo ciepła — szczapki.

Rozpalił w piecu i gdy płomienie buchnęły żywiej, wrzucił w nie kartki i zdjęcie.

Nawet ślad nie zostanie! — pomyślał z ulgą.

Porucznik meldował się przepisowo swojemu bezpośredniemu szefowi. Kapitan zrozumiał, że objazd —

jak go nazwał: pasterski — nie dał oczekiwanych rezultatów. Gdyby się powiodło, Jurek zachowywałby się inaczej. Po Daru latach wsoólnei oracv znalazł na

wylot swego kolegę i przyjaciela. Jurek był żywiołowy. Każda informacja, o której sądził, że wnosi coś nowego do sprawy, wprowadzała go w nastrój radosnej energii. Wpadał wtedy do gabinetu bez pukania, od progu już wykrzykując wszystko, co miał do powiedzenia.

A teraz stał i meldował wykonanie zadania.

Chłop nie dospał, nie dojadł, widać to po nim — pomyślał — a niczego nie zdobył. Wysłuchał do końca oficjalnego meldunku i rzucił:

—
Nie martw się, Jurek! Siadaj i opowiadaj.

Łęski wyciągnął notatnik. Kurtki gęsto pokryte były zapiskami.

—
Zacznę od początku.

Referował dokładnie rozmowy z kilkoma ludźmi, których adresy podała Karatowa. Wieść o śmierci profesora oczywiście dotarła do nich. Byli wstrząśnięci. Stare chłopcy, wspominając pedagoga, ukradkiem ocierali łzy.

Cierpliwie odczekiwał długie minuty ciszy, które zapadały po wspominkach. A potem pytał, wielokrotnie wracał do szczegółów opowiadań.

Pamiętali oczywiście to wydarzenie. Do oddziału w lesie dotarły wiadomości o tragedii ludzi w miasteczku.

Wydarzenia jednak następowały wtedy jedno po drugim. To były dni walki.

Codziennie grupy dywersyjne wychodziły z lasu. Partyzanci minowali tory, wysadzali pociągi, paraliżowali transport niemiecki. I przygotowywali się do decydującego wystąpienia przeciwko garnizonom niemieckim. Nie było czasu na żal po tych, którzy odeszli.

—
Pytałeś o to zdjęcie?

—
Pytałem. — Łęski przetarł zmęczone oczy. — Nie mają żadnych zdjęć z okresu przedwojennego.

Wszystkie pamiątki zniszczyła wojna. Zresztą ci, to akurat ostatnia przed wojną klasa maturalna. A Sałakowska mówiła, że na tym zdjęciu figurowała jedna z młodszych klas gimnazjum.

—
Rzeczywiście! A z tej młodszej klasy nikt nie ocalał?

—
Łęski zamyślił się...

—
Karolowa wspominała tylko o tych kilku. Może o innych nic nie wie?

—
Musisz jeszcze popytać! — Kapitan wstał zza biurka, przeszedł się po pokoju.

—
Aha, byłbym zapomniał! — Wrócił do biurka, wyciągnął z szuflady pękatą torbę.

—
To dla twoich pupilów. Znakomito chłopaki. Pomogli nam z tym Łabęckim. Pójdiesz dzisiaj na herbatę do pani Karolowcj, to im dasz przy okazji.

—
Co to takiego? Cukierki?

—
No właśnie.

—
Ale teraz ich nie zastanę na podwórku. Przecież są w szkole, Łęski uświadomił sobie, że to już jesień. Tyle tygodni upłynęło od śmierci profesora.

—
Wydawało się, że wreszcie ruszyli śledztwo z martwego punktu. I znowu nic.

—
Nie mówię, żebyś szedł zaraz. Najpierw odeśpij te noce spędzone w pociągach. Pójdiesz po południu.

—
Ja muszę się zameldować u pułkownika. Bardzo liczył na ten twój wyjazd.

—
Rozczaruje się.

—
Kapitan się mylił. Pułkownik słuchał uważnie, spokojnie. Nie wydawał się zawiedziony.

—
Hipoteza wydaje się słuszna — powiedział wreszcie. — Rozmowy z tymi ludźmi nie podważają jej trafności. Brak tylko ogniwa, łączącego wydarzenia z czasów okupacji z faktem zaginięcia owej fotografii... Co postanowiliście?

—
Kapitan zreferował wydane zarządzenia.

—
Będziemy szukać jeszcze ludzi z oddziału profesora. Musimy ich odnaleźć, jeśli oczywiście żyją.

—
Słusznie! — Pułkownik aprobował kolejne posunięcie kapitana. —

—
Pracujcie rozważnie, ze spokojem, bez nadmiernego pośpiechu. Nie wolno niczego przegapić.

—
Tok jest! — kapitan odmeldował się. Po powrocie do swego pokoju zadzwonił do Kukłowskiego.

—
Mogę wpaść do ciebie?

—
Oczywiście! Będziesz mile widziany. A z czym bogi niosą?

—
Mam parę pytań.

—
Natury służbowej?

—
Chyba tak — odpowiedział kapitan. Za chwilę siedział w ciasnym pokoiku, patrząc, jak Kukłowski przygotowuje kawę.

—
Rozszyfrowałeś tego swojego bandziora?

Jeszcze nie, ale chyba już niedługo... — przerwał.

—
A ciebie dlaczego to interesuje?

Kapitan Kukłowski spojrzał ze zdumieniem na kolegę.

—
Zaraz ci powiem, tylko daj już tę kawę.

Po chwili opowiadał Kukłowskiemu, jak zawsze, dokładnie i wyważając każde zdanie, o swoich podejrzeniach. — To jest oczywiście jedna z hipotez

—
powiedział na zakończenie. — Ten człowiek mógł w ogóle nic o rym nie wiedzieć. Skoro jednak podejrzewasz go o przynależność do bandy... Ich też niewiele pozostało po wojnie i rozbiciu band. Mimo upływu lat, łatwiej ich dzisiaj wyłować niż w pierwszych latach migracji ludzi po całej Polsce.

—
Dobrze! — Kapitan Kukłowski kiwnął głową. — Gdy tylko coś nowego będę wiedział, zadzwonię do ciebie.

Uścisnęli sobie ręce. Kapitan Januszkiewicz wrócił do swojego gabinetu.

—
Nie ma mnie dla nikogo! — uprzedził Basię sekretarkę.

Gdy po dwóch godzinach dziewczyna zajrzała dyskretnie do gabinetu, nawet jej nie spostrzec!. Z rękoma założonymi na plecach chodził wokół biurka.

Szykuje się coś ważnego — pomyślała Basia. — Cdy tak chodzi i myśli, to potem cała sekcja szaleje! Padają rozkazy, ludzie ruszają poleceniami... Trzeba uprzedzić chłopców z dochodzeniówki. Niech się przygotują.

Porucznik Łęski rozglądał się po podwórku, cichym o tej jesiennej, przedwieczornej porze.

Przyszli Lubańscy odrabiają lekcje.

Skończyły się piękne dni Aranjuczu — pomyślał. Wchodził już w drzwi klatki schodowej, gdy spostrzegł

małą sylwetkę. Chłopak uśmiechnął się na widok porucznika.

—
Co to? Sam? Gdzie inni? — pytał porucznik.

—
Marek dostał lufę, siedzi za karę w domu. Musi wkuwać. Inni też się uczą
— melancholijnie odpowiedział brunet.

—
Proszę! — Porucznik wyciągnął w jego kierunku torbę. — Dla ciebie i dla kolegów.

—
Wedłówki — skonstatował brunecik z uznaniem, spojrzawszy do torby. —
Zaraz ich zawołam.

Gwizdnął przeraźliwie. Zatrzeszczały ramy otwieranych okien. A w chwilę potem na schodach rozległ się tupot nóg.

—
Co jest? — pytał rzeczowo blondas.

—
To dla nas — odpowiedział brunecik otwierając torbę.

Chóralny wrzask ogłuszył na chwilę porucznika. Chłopcy otoczyli go dookoła.

Małe dłonie wyciągały się do niego:

—
Prosimy, pan też spróbuje.

—
Ciężkiej niestrawności dostanę po takim próbowaniu. Jeden wystarczy —

—
bronił się przed hojnością chłopaków. — Puśćcie mnie. Muszę już iść. Mam parę spraw.

—
Dobrze, że pan się wybrał do panny Loni. Właśnie mówiliśmy niedawno z Markiem, że ona taka teraz smutna... — brunecik poważnie kiwał głową.

Pistolety! — pomyślał porucznik wchodząc na schody. — Nic się przed nimi nic ukryje.

Drzwi otworzyła Karatowa. Na widok porucznika pogodna twarz otyłej kobiety rozjaśniła się uśmiechem.

—
Prosimy! Prosimy! Zaraz herbatki zrobię. Już zimno bierze wieczorami.

Lonia się ucieszy — zapewniała gorąco.

Nie był taki pewny, czy panna Sałakowska ucieszy się naprawdę z jego wizyty.

Wyczuwał, że dziewczyna ma do nich żal. Tyle tygodni minęło od śmierci profesora, a oni nie wyjaśnili tej sprawy. Z rezygnacją usiadł przy stole, czekając na herbatę.

Karolewa krzątała się żywo. Po chwili weszła Lonia. Potoczyła się rozmowa. Naprowadzał ją na temat bliski Karatowej. Wspomnień o profesorze.

—
Kto jeszcze ocalał z oddziału? — zadał wreszcie pytanie.

—
Toż mówiłam panu porucznikowi: paru uczniów. Oni tu przyjeżdżali do nas... — starsza pani posmutniała.

—
O innych pani nic nie wie?

—
O innych uczniach?

—
Nie, w ogóle o ludziach z oddziału.

—
A owszem, owszem — pani Karolewa ożywiła się znowu. — Zdaje się, że...

—
Nawet w Warszawie mieszka jeden — przerwała jej Lonia. — To stary człowiek. Mniej więcej w wieku dziadka. On był w grupie zwiadu oddziału dziadka.

—
Zna pani jego nazwisko?

Znała. Wiedziała także, gdzie mieszka. Porucznik zapisał szybko adres.

—
Gdybym wiedziała — sumitowała się Lonia.

—
Dziękuję pani. Nic złego się nie stało. Skąd mogła pani wiedzieć... —
żegnał się pospiesznie.

—
Może jeszcze jedną herbatę? — Pani Karatowa nalewała kolejną szklankę.

—
Służba nie drużba — tłumaczył. — Następnym razem...

Gnał po schodach, potem do tramwaju.

—
Nie rozbijaj pan ludzi! — krzyknął ktoś za nim.

Nie obejrzał się nawet. Tramwaj ruszył z przystanku, skoczył z rozpędu.

Ten człowiek musi wiedzieć więcej niż inni —

upewniał sam siebie. — Służył przecież w zwiadzie.

Wpadł do Komendy.

—
Kapitan u siebie? — krzyknął do dyżurnego.

Dyżurny zdumiony spojrział na zemocjonowanego porucznika:

—
U siebie, jak zawsze — odpowiedział.

Kapitan siedział przy biurku, głowę miał wspartą na rękach.

—
Mam nowy adres! — krzyknął Leski od progu. — Jedziemy?

—
Jedziemy! — kapitan sięgnął po płaszcz wiszący na wieszaku. Po chwili gnali już na Pragę. O nic nie pytał. Dopiero gdy skręcali w wąską ulicę, mruknął

do siebie: — Żeby tylko coś wiedział.

Starszy pan, który otworzył drzwi, spoglądał na nich uważnie.

—
Panowie do mnie? — popatrzył z niedowierzaniem, gdy przedstawili się, okazując zarazem legitymacje.

—
Czym mogę panom służyć? — pytał, wprowadzając ich do pokoju, który zajmował w obszernym mieszkaniu. Zza drzwi słychać było jakieś podniesione głosy.

—
Sąsiedzi — tłumaczył. — Dobrzy ludzie, tylko nerwowi. Czasy takie nerwowe. Wieczny pośpiech, tem-po... zdenerwują się czasem, to i głośniejsze pogadają. Mnie to nie przeszkadza. Przyzwyczailem się.

Nawet to lubię. Cisza pogłębia smutek. Gdy ich słyszę, nie czuję samotności. Ale ja tak o sobie, a panowie...

Wyjaśnili mu, co ich interesuje. Stary człowiek zamyślił się.

—
To dawne dzieje — powiedział wreszcie. — Bolesne wspomnienia. Ale skoro to potrzebne... Słuchali w napięciu. Opowiadał historię oddziału, jego walk. Potem przeszedł do tych dni, gdy oddział wycofywał się w lasy.

—
Byłem w grupie zwiadu. Podchodziliśmy nocą do miasteczka.

Ostrzegaliśmy ludzi. Tłumaczyliśmy, że gdy tylko odejdziemy, zbliży się banda grasująca w okolicy. Dotąd bała się atakować. Teraz będzie pewna bez-karności.

Rozmawialiśmy z miejscowym doktorem. Chodziło o to, żeby ludzie próbowali wycofać się na bezpieczniejsze tereny. Doktor był bardziej rozsądny od innych.

Ale i on nie chciał opuszczać domu. Był stary. Bał się jak inni tułaczki, niepewności.

Oddział wycofał się zgodnie z planem. W jakiś czas potem moja grupa otrzymała rozkaz podejścia do miasteczka. Mieliśmy się zorientować w sytuacji.

Szliśmy w ciemnościach lasem gdy naraz usłyszeliśmy jęki.

Ostrożnie poszedłem za tym głosem. Pod krzakiem leżał człowiek. Był ciężko ranny i nieprzytomny. Gdy odży-skał przytomność, opowiedział, że banda otoczyła miasteczko. Zwoływano ludzi na zebranie. Nie chcieli iść.

Wtedy po domach zaczął chodzić taki jeden... Nazywał się Daniel Złociński.

Uspokajał, mówił, że nikomu się nic nie stanie. Namawiał, by szli na to zebranie.

Ufali mu. Znali go sprzed wojny. Był pomocnikiem buchaltera w tartaku. A potem banda podpaliła budynek.

Ten człowiek, którego znaleźliśmy, był zawiadowcą stacji w miasteczku. Zdołał wyskoczyć w ostatniej chwili z obstawionego budynku. Strzelali za nim, był ranny. Zawlókł się jednak do lasu, chciał dotrzeć do nas.

To wszystko!

Stary człowiek zamilkł. Po długiej chwili dodał:

—

Tam zginęli moja żona i syn.

Kapitan i porucznik siedzieli w milczeniu. Ocknęli się, gdy położył przed nimi starą pożółkłą fotografię.

—

To mój syn! — powiedział wskazując małą chłopięcą twarz o zatartych już rysach.

—

Kiedy zrobione zostało to zdjęcie? — zapytał kapitan.

—

W 1933 roku czwarta klasa gimnazjum urządziła wycieczkę. To zdjęcie z tej wycieczki. Tutaj siedzi profesor Osadnicki — objaśniał dalej.

Kapitan wpatrywał się w zdjęcie: upozowana grupa młodzieży, przed nią zaś grono nauczycielskie. Z boku, za młodzieżą, jakiś dorosły mężczyzna.

—

A to kto? — wskazał palcem, dotykając właśnie tej wyłaniającej się z boku głowy.

—

To jest ten człowiek! Złociński! On był takim totumfackim szkoły. Wtedy powierzono mu zorganizowanie łódek. W planie wycieczki był spływ rzeką.

—

Co się z nim stało?

— Szukaliśmy go. Ale wymknął nam się z rąk. Słyszałem później, że zginął...

W pokojach sekcji panował wzmożony ruch. Dzwoniły telefony, ludzie wbiegali i wybiegali. Porucznik Łęski uwijał się jak w ukropie. Wydawał polecenia. Sam co chwilę wpadał do gabinetu kapitana.

—
Dzwoń do drogówki! — głos kapitana brzmiał twardo, jak zawsze wtedy, gdy zaczynała się akcja.

—
Niech sprawdzą wypadki w dniach... — dyktował Łęskiemu daty. Chodziło o trzy dni, w tym o ten, w którym zginął profesor. — Z wyeksponowaniem szczegółów uszkodzeń wozów!

—
Jakie wozy cię szczególnie interesują? — Łęski zadawał pytania, pragnąc wyłuskać cel tego polecenia.

—
Skody! A raczej jedna szara Skoda. Porucznik pojął w lot.

—
Sądziś, że chłopaki?

—
Nic nie sędzę. Na razie... Wykonuj! I natychmiast do mnie techników z laboratorium fotograficznego.

Wyciągnął z szuflady poźółkłe zdjęcie. Stary pan z Pragi rozstawał się z nim z trudem.

—
Zwrócimy! — zapewnił kapitan. Myślał o tym człowieku, kładąc zdjęcie na biurku. O jego samotności wśród ścian jednego pokoju w obszernym rodzinnym mieszkaniu.

Mężczyzna z fotografii był winien tej tragedii i wielu innych. Ale dostanę go w ręce — postanawiał. Teraz już nie miał wątpliwości, kogo profesor zobaczył na Dolnym Śląsku. To musiał być ten człowiek. Jakież bowiem spotkanie mogło go tak poruszyć?

Rozłożył mapę. To będzie tu — upewniał się. Brynicki podał nazwę wioski, odległej kilka kilometrów od małego dolnośląskiego miasteczka.

Kontemplację mapy przerwali technicy. Podał im zdjęcie.

—
Tę twarz należy powiększyć! Oczywiście tak, by była możliwie wyraźna.

—
Trudno będzie! Zdjęcie w ogóle niezbyt dobre, a w dodatku podniszczone. Ale robi się — zdecydowali.

—
Na kiedy?

—
Na przedwczoraj — odpowiedział kapitan wracając znowu do rozłożonej mapy. Zadzwoił telefon. Podjął słuchawkę. Meldował Jurek Łęski:

—
Mam Skodę!

Gdzie?

Porucznik chciał wyjaśnić. Przerwał mu:

—

Przyjeżdżaj natychmiast do mnie! Czekał niecierpliwie. Natłok myśli huczał mu w głowie. Ale przeważała jedna: Mamy go wreszcie! Chyba mamy! Za chwilę powiedział to Łęskiemu.

Porucznik sprawdził: w drogówce mieli odnotowany drobny wypadek. Zdarzył się w dzień przed śmiercią profesora. Szara Skoda wpadła na Fiata. Uszkodzenia Fiata nie były zbyt poważne. Skody również. Zgięcie prawego błotnika, zarysowany w kilku miejscach lakier.

—

Rejestracja?

Porucznik akcentował litery. To był wóz z tego województwa i powiatu, które w ubiegłym roku przemierzał profesor z Krynickim. Tam zobaczył widmo.

Człowieka, który — jego zdaniem — nie powinien był żyć.

Chłopakom należy się za tę Skodę niejeden kilogram cukierków — pomyślał

kapitan, a potem powiedział

do Łęskiego:

— Zamelduję pułkownikowi. Gdy tylko powiększenia zdjęcia będą gotowe, ruszamy.

Stanisław Kowalski wychodził wściekły z administracji PGR. Ten idiota i safandula — myślał o dyrektorze

—
znowu wybiera się do powiatu. Odkąd przyznali tę Skodę, ciągle się wozi.

W takich wypadkach wszystko wali się na jego — Kowalskiego — głowę.

Przed budynkiem stała Skoda. Nie znosił tego wozu, zawsze wpadał na jego widok w zdenerwowanie. Teraz też rzucił okiem na prawy przedni błotnik. Wóz skrupulatnie pielęgnowany lśnił czystością. Tylko na pra-wym przednim błotniku widać było ciemniejsze pasmo lakieru. Nawet może nie ciemniejsze, tylko jakby bardziej matowe.

Nikt tego nie zauważył — przekonywał sam siebie. Ale lęk znowu zaczął go ogarniać. Przypomniawsobie dzień sprzed paru tygodni.

Dyrektor PGR wyprawiał go do Warszawy z satysfakcją.

—
Trochę się pan przewietrzy, panie Stanisławie. To nawet niezdrowo tak ciągle w tych papierach. Znowu Warszawę pan zobaczy! Tam się co parę miesięcy zmienia. Nowe bloki, nowe osiedla — pogadywał zadowolony, że może spełnić prośbę swojego najlepszego pracownika. Wypisał długą listę poleceń.

—
Tylko niech pan ostrożnie jedzie — upomniał przy pożegnaniu, gładząc z lubością gładką blachę karose-rii.

Mimo to dociskał mocno gaz. Jeśli miał załatwić tę swoją najważniejszą sprawę, musiał się spieszyć. Głupi wypadek mógł pokrzyżować plany. Stuknął jakiegoś Fiata. Uszkodzenia nie były wielkie, ale właściciel Fiata darł się na całą ulicę.

Pojawił się

funkcjonariusz MO, spisał protokół.

Może powinien był zrezygnować? Nie zrezygnował. Wieczorem, w parę godzin po wypadku podjechał pod dom. Wokół było pusto, w wąskiej uliczce przylegającej do podwórka domu, w którym stary pedagog mieszkał, nie spotkał nikogo.

Nazajutrz rano zaparkował tam wóz. To zwiększało niebezpieczeństwo przedsięwzięcia, ale z drugiej strony dawało możliwość szybkiego wycofania się.

Na podwórku bawiły się dzieci, nie zwróciły jednak na niego uwagi. Na klatce-schodowej nie spotkał nikogo ani gdy wchodził, ani potem, gdy opuszczał mieszkanie profesora.

Nic! To niemożliwe. Kto mógłby skojarzyć drobny wypadek, który wydarzył się w milionowym mieście, z morderstwem znanego historyka?

Mimo tych logicznych skądinąd argumentów postanowił jeszcze tej nocy zakopać gdzieś w bezpiecznym miejscu tych parę złotych drobiazgów, które wziął z szafy. Co prawda brał je w określonym celu: dla stworzenia pozorów rabunku, ale lepiej się ich na razie pozbyć. Uspokojony znowu ruszył energicznie w podwórze.

—
Porucznik Łęski już parę dni nie był — odezwała się Karatowa, przerywając ciszę, która zaległa pokój.

Lonia siedziała na tapczanie. Nachyliła ku sobie abażur stojącej lampy tak, by światło padało na robotę.

Wokół leżały kłębki różnokolorowej wełny. Przysuwała je do siebie, kontemplując zestawienie kolorów.

—
Prawdopodobnie nie interesują go już informacje, których możemy udzielić.

Karolowa spojrzała na dziewczynę z dezaprobatą.

—
Ty teraz nie dostrzegasz życzliwości ludzkiej. To niedobrze. Człowiek musi żyć z ludźmi. Nie można ciągle siedzieć samotnie w czterech ścianach.

Domy buduje się po to — wygłaszała jedną ze swoich filozoficznych sentencji — by było w nich ciepło od ludzkich radości i gwaro od ludzkich głosów.

—
Może masz rację? — Lonia zamyśliła się znowu. Nie chodziło jej zresztą o Łęskiego. Mimo że każda rozmowa z kapitanem denerwowała ją przyzwyczała się jakoś i brakowało jej tych rozmów.

—
Chyba porucznik? — Karolowa poderwała się od stołu, słysząc dźwięk dzwonka.

Polubiła naprawdę tego młodego człowieka. Lonia od śmierci profesora nie zapraszała nikogo, nawet najbliższych przyjaciół. W samotności, w jakiej teraz żyły, wizyty porucznika wносиły trochę ożywienia, były wiewem normalnego życia, które toczyło się za murami kamienicy. Drepcąc pospiesznie do przedpokoju, po-myślała, że może dowiedzą się wreszcie...

To nie był jednak porucznik. Za drzwiami stał Julian Łabęcki.

—
Czy zastałem Lonię?

Pytając wszedł do przedpokoju, kierował się ku wieszakom. Powoli zdejmował palto, odwijął szalik.

—
Lonia jest u siebie — odrzekła cicho, zawracając ku drzwiom kuchni.

Ta niespodziewana wizyta, po tylu tygodniach milczenia, braku jakiegokolwiek za interesowania, wydała jej się czymś niesłychanym. Nie czuła się na siłach, aby asystować przy takim spotkaniu.

Łabęcki dyskretnie zapukał do drzwi pokoju Lorii. Usłyszawszy zaproszenie wszedł. Dziewczyna podniosła głowę znad kolorowych włóczek. W oczach jej odmalowało się najpierw zdumienie, a potem niechęć.

—
Przyszedłem, by ci powiedzieć... — zaczął.

—
Nie sądzisz, że to trochę zbyt późno?

—
Nie poprosisz nawet, bym usiadł?

—
Proszę! Usiądź!

Przysunął sobie krzesło do tapczanu.

—
Nie przerywaj mi. aż skończę. Przyszedłem, by d wszystko powiedzieć...

Mówił nie patrząc na nią. Nie widział, jak reaguje na jego słowa. Tłumaczył, żarliwie przekonywał...

—
A ja powiedziałam tam, w Komendzie, że nie poznaję tej spinki. Nie sędzę, abym mogła coś do tego do-dać.

Nie podała ręki. Siedziała dalej spokojnie na tapczanie, przesuając w palcach pasma wełny.

Zrozumiał: istotnie, żadne słowo tu nic nie zmieni.

Po jego wyjściu Lonia przeszła powoli do gabinetu dziadka. Podjęła słuchawkę telefonu i wykręciła numer.

Odpowiedzią był przeciągły sygnał.

Czyżby go nie było? Łęski mówił, że kapitan przesiaduje w swoim gabinecie do późnych godzin wieczor-nych. Chciała teraz, natychmiast, usłyszeć jego głos.

Poprosić, by przyjął ją w Komendzie.

Muszę mu powiedzieć, dlaczego ukryłam prawdę. To nie może tak zostać.

Znowu wykręciła numer. Tym razem centrali Komendy.

—
Proszę połączyć mnie z kapitanem

Januskiewiczem.

—
Chwileczkę... Numer kapitana nie odpowiada.

Zniechęcona położyła słuchawkę. Wróciła do pokoju. Karatowa siedziała znowu przy stole, tasowała talię kart. Godziny samotnego wieczoru wlokły się powoli w nieskończoność.

W gabinecie pułkownika panował ruch. Kapitan, porucznik, ludzie z sekcji, wszyscy tłoczyli się wokół

biurka, na którym rozłożona była wielka mapa jednego z dolnośląskich województw.

—
Nie możecie podjechać wozem. Trzeba będzie przejść od głównej drogi około pół kilometra. Nie należy alarmować ludzi.

Stukając palcem w mapę, pułkownik omawiał plan akcji.

—
Pokażcie odbliski.

Kapitan podsunął plik fotografii. Powiększenia wyszły doskonale. Błyszczący papier wyostrzał rysy mężczyzny.

—
Tak wyglądał! — Pułkownik chwilę patrzył na zdjęcie. — Ciekawe, czy się bardzo zmienił. A może to nie on?

Kapitan zaprotestował gorąco. Jeszcze raz przytoczył najważniejsze fragmenty rozmowy ze starszym człowiekiem z Pragi. Cytował ustalenia wydziału ruchu drogowego, dotyczące wypadku w przeddzień śmierci profesora.

—
Poprawnie! Logicznie! — pułkownik komentował wywody kapitana. —

Dlatego też aprobuję akcję. Ale niespodzianki mogą się zawsze zdarzyć.

Miejscowa Komenda Powiatowa powiadomiona?

—
Powiadomiona! — teraz odezwał się Łęski. — Obserwują dyskretnie teren.

—
No to w drogę! — Pułkownik podniósł w górę kciuk prawej ręki: — Złam-cie kark!

Wychodzili pospiesznie, dopinając w biegu rozpięte płaszcze. Na podwórzu Komendy czekał już najlepszy wóz. Wsiedli. Wartownik przy bramie podniósł łańcuch.

—
Teraz po gazie! — Łęski nachylił się do kierowcy.

—
Może byś jeszcze syrenę kazał włączyć? — obruszył się kapitan.

—
Bez awantur — zwrócił się do kierowcy. — Wystarczy setką. Zdamy.

Mamy czas!

Reflektory omiały szosę daleko w przód. Z rzadka jedynie wymijali samochody, czasem furmankę, wlokącą się krok za krokiem. Upływały godziny.

—
Chyba już niedaleko? — Łęski ocknął się z drzemki, w którą zapadł wtuliwszy się w oparcie siedzenia.

—
Będzie ze 20 km, nie więcej — odpowiedział natychmiast kierowca, czujnie wpatrzony przed

siebie.

Na dworze było szaro, gdy dojechali do skrzyżowania z wąską drogą.

—

Wysiadamy!

Kapitan odpiął kaburę pistoletu, przesunął, by poręczniej było chwycić. Ten Kowalski może mieć broń.

Nigdy nic nie wiadomo.

Szli rozglądając się uważnie. Na polach nie widać było ludzi. Jesienne prace już ukończono. Z daleka tylko dobiegał warkot motoru.

W budynku administracyjnym dyrektor witał ich równie zemocjonowany, jak i zdumiony.

—

Kto w ostatnich miesiącach i kiedy wyjeżdżał służbowo?

Dyrektor wyciągał segregatory, przerzucał papiery, zostawiał je, szukał innych.

—

Ja zaraz panom wszystko pokażę — zapewniał.

—

Chwileczkę... wszystko jest zanotowane.

Wreszcie znalazł zestawienie wyjazdów. Pokazywał palcem daty, sumy diet...

—

Musiałem do powiatu — tłumaczył częstotliwość swych wyjazdów.

—

A kto wyjeżdżał do Warszawy?

—

Kilkakrotnie pan Kowalski. To najlepszy nasz pracownik. Sam go delegowałem. Przez trzy lata, jak tu jest, nigdzie nie wyjeżdżał. Dopiero w ostatnim roku. Uznałem za stosowne... Właśnie dostaliśmy w tym roku Skodę.

To bardzo ułatwia.

—

Możemy obejrzeć wóz?

—

Oczywiście! — Dyrektor już wkładał palto, aby osobiście zademonstrować samochód.

—

Za chwilę — powstrzymał go kapitan. — Na razie proszę poprosić pana Kowalskiego. Jest już w pracy?

—

Tak! Od siódmej! To po drugiej stronie korytarza-Zarazgo wezwę; —

Pospieszył do telefonu, postukał w widelki, wykręcił numer.

—

Proszę do mnie, panie Stanisławie — powiedział, gdy usłyszał przeciągłe: halo!

Porucznik Łęski przesunął się do drzwi biura. Stał tak, by otwarte mogły go na chwilę zasłonić. Kapitan czekał stojąc na środku biurowego pomieszczenia.

Rozległo się pukanie i zanim ktokolwiek zdążył powiedzieć: proszę, drzwi pchnięte energiczną ręką

otworzyły się na całą szerokość.

Stanisław Kowalski wszedł i zwrócił się spokojnie do dyrektora:

—

O co chodzi?

—

Panowie chcieli... — plątał się dyrektor.

Kapitanowi wystarczył rzut oka na twarz mężczyzny. To był ten z fotografii!

—

Co robiliście w mieszkaniu profesora Osadnickiego między godziną ósmą a dziewiątą rano w dniu?..

Kowalski zwinął się, skręcił i rzucił do drzwi.

—

Spokojnie, Złocinski — rozległ się głos porucznika Łęskiego.

Szcęknęły kajdanki. Mężczyzna szarpał jeszcze chwilę ręce, po czym zrezygnował.

—

Panowie się mylicie — zaczął. — Bierzecie mnie za kogo innego...

— O tym porozmawiamy gdzie indziej — przerwał mu kapitan.

Kapitan stał przed lustrem i wiązał krawat. Szło to opornie. Śliski jedwab wymykał się z rąk, węzeł wychodził nierówny, rozluźniał się, opadał... Z rezygnacją zaczynał po raz trzeci od początku.

—
Gdzie się wybierasz? — spytała siostra, przyglądająca się tym wysiłkom z drugiego końca pokoju.

—
Małe spotkanie służbowo-towarzyskie...

—
I z racji tego małego spotkania tak się męczysz od godziny? Poprosiłbyś tego Sherlocka Holmesa, toby ci pomógł. On zawsze ma idealnie zawiązany krawat. Znać rękę mistrza.

—
Zauważyłaś?

—
Kobiety zawsze zauważają takie rzeczy. — Odczekała chwilę. — Jak wygląda ta panna Sałakowska?

Ładna? Zgrabna?

Odwrócił się gwałtownie od lustra:

—
Co ci przychodzi na myśl Halina?

—
Nie odpowiedziałeś na pytanie.

—
Chyba niezbyt ładna. Drobną, szczupłą. Oczy tylko ma piękne. Nie widzę związku... Nie widziałem jej od dłuższego czasu. Wiesz przecież, ile miałem zajęć.

—
Słyszałam wczoraj twoją rozmowę telefoniczną. Dzwoniła zresztą przedtem parę razy. Od kiedy to do oficera milicji dzwoni się tak prywatnie?

—
Wcale nic prywatnie. Panna Sałakowska ma mi coś ważnego do zakomunikowania. O ile wiem, żaden przepis nie zabrania... — kończył wiązać krawat, uważając temat za wyczerpany.

Telefon wychowawcy profesora zaskoczył go nieco. W miły sposób. Domyślał się, co chciała mu powiedzieć. Dlatego wolał mniej oficjalną oprawę tej rozmowy. Swobodniej rozmawia się w domu.

W ciągu ostatnich dni sprawa morderstwa profesora zaprzętała całą jego uwagę.

Nie wracał myślą do hipotez już wcześniej wykreślonych. Nie miał czasu.

Teraz dopiero, po tym telefonie Loni, odżyły w pamięci wraz z całą dramaturgią wydarzeń.

A może wychowawca profesora ma jakieś ważne informacje? — zastanawiał się skręcając już w wąską uliczkę. — Nie dopytywała się już ostatnio o wyniki śledz-tw6. Pogodziła się z myślą że to musi potrwać. Na pewno jednak sama ciągle docieka przyczyn tej zbrodni.

Zza żywopłotu dochodziły pokrzykiwania. Na tle chóru dyszkantów odróżniał mocny, męski głos.

—

Spartoliłeś tę piłkę, Jacek! Lubańskim chcesz zostać, a grasz jak w szmaciankę! Ile razy będę powtarzał, że rasowy piłkarz...

Kapitan podszedł do żywoplotu.

Co? No oczywiście... Jurek! Dopiero wrócił z drogi i już rozrabia.

Obszedł kamienicę, otworzył małą bramkę od podwórka.

—

Strzelaj! Strzelaj! — Porucznik Łęski w krótkich spodenkach i gimnastycznej koszulce biegał wraz z chłopakami, wrzeszcząc nie gorzej od nich.

Kapitan nie zauważony wszedł w klatkę schodową. Za chwilę dzwonił do drzwi, na których tak jak dawniej wisiała wizytówka: prof, dr Władysław Osadnicki.

Karolowa powitała go entuzjastycznie:

—

Tak dawno pana nie widziałyśmy. Lonia czekała, myślała, że pan kapitan...

W progu gabinetu stanęła Lonia. Zmieniła się znacznie od czasu, gdy widział ją ostatni raz. Pamiętał ją w jakiejś niemodnej i niezgrabnej sukience. Teraz wyglądała zupełnie inaczej.

—

Nie mam spokoju od dłuższego czasu — zaczęła, gdy tylko usiedli. —

Wielokrotnie chciałam o tym panu powiedzieć... Chodzi o tę spinkę.

—

Domyślałem się, że pani ją zna. Ale wobec oświadczenia Łabęckiego nie miało to znaczenia dla sprawy.

—

Łabęcki mi powtórzył...

—

Sądzę, że nie trzeba już do tego wracać.

Pani Karatowa pojawiła się w drzwiach gabinetu

—

Proszę na herbatę.

Siedzieli we trójkę przy stole. Rozmowa toczyła się wokół planów zawodowych Loni. Kończyła w tym roku studia.

—

W jakiej dziedzinie będzie się pani specjalizować?

—

W chirurgii.

Spojrzał z niedowierzaniem na drobną sylwetkę, na małe ręce. Wyczuła wątpliwości kapitana.

—

Ja jestem bardzo odporna. W chirurgii nie siła fizyczna jednak decyduje, ale zdolności manualne. Zza okna dobiegał wrzask.

—

Nie dadzą słowa przemówić! — Pani Karatowa zmierzała ku oknu. —

Smarkacze! Boisko sobie urządzili z podwórza, cały boży dzień tak tłuką tę piłkę.

Przerwała naraz potok wymowy i rozpromieniona zwróciła się do kapitana:

—

Pan porucznik Łęski jest tam z nimi. Popatrzcie, jak zgrabnie posuwa tę piłkę.

Zbliżyli się do okna. Istotnie! Porucznik Łęski z całą znajomością sztuki gnał w stronę bramki sporządzonej ze sznurka. Po chwili jęk rozległ się na podwórzu. Piłka przerwała sznurek i wyładowała w żywopłocie.

—
Jurek! Chodź tu do nas! — huknął z okna kapitan,

—
Cześć, wodzu! — rozległa się z dołu odpowiedź porucznika. Nie wydawał się zaskoczony widokiem kapitana w oknie mieszkania profesora. — Już idę! Pani Karolowa pospiesznie stawiała na stół jeszcze jedną filiżankę.

—
A może by? — zwróciła się do Loni.— Co ja się pytam... — poprawiła się zaraz. Wyciągała z kredensu duże kryształowe kieliszki, butelkę wina.

—
Z okazji wizyty pana kapitana! Porucznik Łęski westchnął z ulgą. Stanowczo wolał wino niż herbatę.

Gdy Karolowa hojnie dolewała swojemu ulubieńcowi do kieliszka, równocześnie dając upust wymowie, Lonia po drugiej stronie stołu prowadziła rozmowę z kapitanem.

Był późny wieczór, gdy kapitan podniósł się wreszcie z krzesła, dając porucznikowi hasło do wyjścia. Już przy drzwiach odwrócił się i powiedział cicho:

— Myślę, że w najbliższym czasie będę mógł powiadomić panią o zakończeniu śledztwa.

—
Nie znałem żadnego profesora Osadnickiego. Nigdy nie byłem w jego mieszkaniu. Kowalski vel Złociński od paru dni powtarzał jedno i to samo. Zaprzeczał najbardziej oczywistym faktom.

Kapitan nie tracił cierpliwości. Kazał zwyczajnie odprowadzać go do celi.

Wzywał następnego dnia. Czekał. Teraz też. Przerzuciwszy stos papierków, które położyła na biurku sekretarka Basia, połączył się z kapitanem Kuklowskim.

—
Pokazałeś mu?

—
Tak!

—
Ico?

—
Z początku mówił, że nie rozpoznaje, nawet z godzinę się przy tym upierał. Wtedy powiedziałem, że tamten go rozpoznał. Wpadł w furję. Bluzgał.

W życiu nie słyszałem takiego repertuaru. Teraz od dwóch godzin mówi. Nawet przerwy na posiłek nie chciał.

—
To dobrze! Jak sądzisz, można by jutro?

—
Oczywiście! Zaraz z rana.

—
W takim razie do jutra.

Kapitan odłożył słuchawkę. Podeszedł do okna, otworzył je szeroko. Zimne powietrze wtargnęło do pokoju.

Dobiegał końca ostatni akt dramatu. Miał za sobą wiele tygodni ciężkiej pracy.

Ale i pewność, że jutro będzie już spał spokojnie.

Gmach pustoszał, gdy opuszczał Komendę z postanowieniem, że musi poprosić rano również Jurka.

Nauganiał się chłop, niechże będzie świadkiem spotkania tych dwóch.

Porucznik Łęski stawiał się wcześniej, gdy tylko kapitan pojawił się u siebie w gabinecie.

—
Melduję się! — zaczął przepisowo.

Widoczne było, że niezbyt chętnie wstawał tego rana. Nie mogło to dziwić, zważywszy, że w ciągu ostatnich nocy niewiele spał, przeszukując mieszkanie Złocińskiego, kontrolując czynności grupy operacyjnej. Sam własnoręcznie kopał ziemię wokół domu, w którym Złociński mieszkał. Nie znalazł brakujących kartek dziennika profesora ani zaginionego zdjęcia. Natomiast w drugim dniu wyęźzonej pracy natrafił na zakopany koło węgła budynku pękaty woreczek plastikowy. Znajdowała się w nim, opakowana w ligninę, biżuteria opisana przez wychowankę profesora. To był bezpośredni dowód, że Złociński był w mieszkaniu profesora. Ale Łę-

skiemu to nie wystarczało. Gdy wydawało się, że przeszukali już wszystko, wrócił do pokoju Złociński ego.

Odsuwał meble. Wreszcie w rogu, za szafą spostrzegł, że jedna z desek podłogi ma odcień nieco jaśniejszy.

—
Po prostu nie zdeptana — powściągał go któryś z kolegów.

Podważyli jednak jedną z tych desek. I oto Łęski trzymał w ręku pistolet „Parabellum” kaliber 7,62 mm z tłumikiem.

—
Złociński gada? — spytał teraz kapitana przysiadając na krześle.

—
Jeszcze nie! Ale chciałem, abys był dziś przy przesłuchaniu. Wprowadzić!

— rzucił rozkaz w słuchawkę.

W towarzystwie dwóch funkcjonariuszy wchodził aresztowany. Z zaciętych ust nie padło ani jedno słowo.

—
Następnego! — ponowił rozkaz kapitan.

Porucznik zaniepokojony odwrócił się do drzwi.

Wprowadzono następnego mężczyznę. Kapitan nie odrywał oczu od Złocińskiego. Ten, słysząc kroki, również się obejrzał. Zbladł, ale i teraz nie powiedział słowa,

—
Złociński! Poznajecie? — zabrzmiało pytanie.

—
Nie znam tego człowieka — odpowiedział zapytany.

—
Teraz mówisz, że nie znasz? A sypanieś! Ty... — krępy, niski mężczyzna wyrywał się z rąk funkcjonariuszy. — Myślisz, że ci się uda? Ja powiem wszystko.

Obejrzyjcie jego nogi — krzyczał do kapitana i porucznika. — Partyzanci zostawili mu pamiątkę na całe życie!

Złociński odruchowo pochylił się, jakby chciał spojrzeć na nogi.

—
Wyprowadzić! — kapitan zwrócił się do konwoju.

Porucznik Łęski z uwagą obserwował tę scenę, ledwo zamknęły się drzwi za aresztowanymi, gorączkowo zaczął pytać. Kapitan odpowiadał, wyjaśniając, jak doszedł do wniosku, że tych dwóch należy skonfrontować.

—
I znowu mi nie powiedziałaś — Łęski był urażony,

—
Nie mówię, gdy nie jestem pewny. Jeszcze w początkowym okresie śledztwa byłem u Kukłowskiego na kawie. Spytałem go, czy znał profesora. On wiesz... ma wielu znajomych naukowców z uniwersytetu. Chciałem po prostu dowiedzieć się czegoś więcej o profesorze. Okazało się, że na parę miesięcy przed śmiercią profesora Kukłowski zaprosił go do

Komendy. Wśród wielu innych zdjęć pokazał mu zdjęcia tego bandziora, którego dzisiaj widziałeś. Profesor nie rozpoznał. Nie znał tego człowieka. A Kukłowski miał poważne podejrzenia, że ten krępy należał do bandy, grasującej w czasie okupacji w okolicach miasteczka, w którym profesor

mieszkał.

Gdy ustaliliśmy brak niektórych kartek w dzienniku profesora, a potem ich prawdopodobną treść, przypomniła mi się rozmowa z Kukłowskim.

Po aresztowaniu tego Złocińskiego, poprosiłem Zbyszka, by jego zdjęcie pokazał krępemu. Wcale nie byłem pewny, że się znają.

—

Mogę się odmeldować, szefie? — porucznik Łęski uśmiechnął się do kapitana. — Jestem diabło zmęczony.

—

Nie wybierzesz się do pani Karatowej?

—

Myślę, że się wybiorę, ale nie dzisiaj. Ty oczywiście zawiadomisz oficjalnie wychowanicę profesora o zakończeniu śledztwa?

—

Zawiadomię.

Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale w tej chwili odezwał się telefon.

—

Słucham?

—

Dzwonki z ekspertyzy — poinformowała sekretarka.

—

Słucham. Januskiewicz...

—

Kapitanie — głos eksperta brzmiał donośnie — pocisk pasuje. To z tego pistoletu oddano strzał do profesora.

Kapitan odłożył powoli słuchawkę na widełki.

Koło się zamknęło — pomyślał i w tym momencie poczuł, że ogarnia go ogromne, przytłaczające zmęczenie.

Koniec